Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CW 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 8 maj 1949 r. | Nr 18 (180)

LAUREACI NAGRODY EPISKOPATU POLSKI

Jan Zawieyski

Przyznanie nagrody Episkopatu Polskiego za twórczość dramatyczną Jerzemu Zawieyskiemu nie było dla nikogo niespodzianką. Nazwisko tego laureata w powojennej twórczości literackiej stało się niemal synonimem polskiego dramatu katolickiego, a chyba i najwybitniejszym nazwiskiem reprezentującym w ogóle nasz dramat powojenny. Za wcześnie dzisiaj jeszcze na ustalanie pozycji laureata w historii naszej dramaturgii, za wcześnie jeszcze na porównania czy to z K. H. Rostworowskim, czy z innymi twórcami najwspanialszych kart teatru. I brak perspektywy czasowej i ciągle zbogacanie się dorobku laureata nakazują ostrożność w formułowaniu jakichkolwiek syntetycznych, „historycznych" osądów. Ale jedno już stwierdzić można bez obaw o uproszczenie czy spłycenie oceny.

Główny walor twórczości dramatycznej Jerzego Zawieyskiego tkwi w tym, że połączył on w każdorazowym akcie twórczym dwa dążenia, dwie zasadnicze troski artysty, zwłaszcza artysty-katolika: dążenie do przedstawienia i rozstrzygnięcia najważniejszych problemów, problemów boląco aktualnych a jednocześnie wiecznych, problemów metafizycznych i dążenie do stworzenia najdoskonalszych form wyrazu, najpełniejszych ekwiwalentów formalnych dla zamierzonych treści ideowych.

Jaki zespół chwytów technicznych, jaki zasób doświadczeń i przeżyć artysty, jaka siła talentu pozwoliła na pełną realizację obydwu dążeń — to powinna w najbliższej przyszłości zbadać i wyjaśnić fachowa analiza naszych teatrologów, już dzisiaj jednak wszyscy podziwiać musimy wyniki twórczej pracy laureata.

Bo jest osiągnięciem niewątpliwym, a w dramaturgii polskiej niemal bez precedensu, takie przedstawienie pozornie abstrakcyjnych problemów metafizycznych, że stają się one — wbrew odwiecznym chyba tradycjom powszechnego sposobu myślenia — problemami doraźnie niemal aktualnymi, problemami palącymi swoją konkretnością, problemami naszej codzienności. Widzowie, wzruszający się „Ocaleniem Jakuba" czy „Rozdrożem miłości", czytelnicy przeżywający „Miłość Anny", „Dzień sądu" czy „Pieśń nadziei" znają ową siłę tłumaczącą codzienność na wieczność, czy wieczność na codzienność, w każdym razie łączącą obydwa porządki zjawisk w jedno przeżycie artystyczne.

Nie wytłumaczy tego chyba sposób relacjonowania wydarzeń, nie wskaże źródeł tej siły układ sytuacji, technika i język dialogów, nie znajdziemy jej pełnego skomentowania w analizie doskonale harmonizujących środków artystycznych, chociaż bez ich precyzji i trafności dramaty Zawieyskiego nie byłyby tym, czym są.

Zdaje się, że najistotniejsze źródło siły twórczej laureata wypływa z jego dogłębnego, pełnego przeżycia chrystianizmu. I w tym przeżyciu, nakazanym masom odbiorców przez wymowę utworów Zawieyskiego kryje się ich najbardziej ważka wartość, ich artystyczny, społeczny i ogólnoludzki sens.

Przyznanie nagrody Episkopatu Polskiego twórcy „Ocalenia Jakuba" jest — oprócz podkreślenia zasług artysty — uwypukleniem, zaakcentowaniem wartości prawdy, która powinna zapanować nad światem.

Z odznaczenia laureata cieszymy się wszyscy, wszyscy jesteśmy dumni, wszyscy jednak czekamy dalszego ciągu mądrej akcji jaką zainaugurował Episkopat Polski przez nagradzanie najwybitniejszych twórców katolickich — i wszyscy chcemy ujrzeć wszystkie dramaty Jerzego Zawieyskiego na scenach teatrów polskich.

Jan Władysław Grabski

Twórczość powieściopisarska Jana Wł. Grabskiego i odznaczenie jej pierwszą po wojnie nagrodą Episkopatu Polskiego, przyznaną za całokształt dorobku literackiego — nie wymaga właściwie komentarzy.

Nagrodzono jednego z najwybitniejszych i najkonsekwentniej katolickich pisarzy polskich. Już przed wojną „Bracia", „Kłamstwo" i „W cieniu kolegiaty" zjednały mu uznanie i szacunek nie tylko w kręgu społeczności katolickiej, ale i wśród bardziej obiektywnych przedstawicieli obozu przeciwnego. Powojenne osiągnięcia Jana Wł. Grabskiego wskazują ciągły wzrost i wysiłku i sprawności pisarskiej. Drugie danie trzytomowej „Sagi o Janku Broniszu" niknie z półek księgarskich z rekordową szybkością, „Konfesjonał" rozchwytano w kilka miesięcy po wydaniu. Wzrasta wyraźne zapotrzebowanie na jego reedycję. Powodzenie tych pozycji jest nie tylko wyrazem powszechnego głodu wartościowej książki, ale także miernikiem obiektywnych walorów pisarskich, reprezentowanych i świetnie opanowaną techniką narratorską i plastycznością epickiego opisu i trafnością wyboru tematyki, która jest równie frapująca, jak i świadoma swoich zamierzeń ideowych.

Nie znaczy to wcale, aby czy to „Sadze" czy „Konfesjonałowi" nie można było postawić nawet dosyć poważnych zarzutów, zwłaszcza gdybyśmy się pokusili o wnikliwszą analizę prawdy psychologicznej postaci drugoplanowych (bo z głównymi bohaterami można się zgodzić niemal bez zastrzeżeń). Tak samo zbyt śmiałe analogie z postaciami innych pisarzy (jaką np. przedstawia ks. Sadok w porównaniu z ks. Douissan z „Sous le soleil de Satan" Bernanosa) budzą zastrzeżenia i trochę są wynikiem mierzenia sił na zamiary. Można stwierdzić to zwłaszcza teraz, gdy książki Grabskiego oceniamy już z pewnego dystansu, a nie w atmosferze radosnego podniecenia, w jakim zawiązuje się zawsze pierwszy kontakt z nową, specjalnie po głodzie wojennym, niecierpliwie oczekiwaną nowością. Nie umniejsza to w niczym z każdym dziełem wzrastającej wartości pracy tego pisarza. Przeciwnie. Podkreśla jego wysiłek i walkę o coraz lepsze, pełniejsze środki wyrazu artystycznego.

Przyznanie autorowi „Sagi" nagrody Episkopatu Polskiego jest właśnie najsprawiedliwszym, najbardziej zasłużonym dowodem uznania dla trudu twórczego, któremu społeczność katolicka wiele zawdzięcza.

Wojciech Bąk

Przyznanie nagrody poetyckiej Episkopatu, Wojciechowi Bąkowi, wydaje się ze wszech miar uzasadnione. Wśród aktywnych w chwili obecnej poetów katolickich nie ma chyba żadnego, który mógłby się wykazać równie bogatym, co tegoroczny laureat dorobkiem twórczym.

Sądząc z nazwisk wyróżnionych przez Łódzkie Jury, przyznawano nagrody za **całokształt** twórczości, nie zaś za jakąś wyodrębnioną pozycję. W wypadku Bąka, już choćby sama ilość wydanych tomików, przesądza o dodatniej wartości bilansu.

Ciekawym zbiegiem okoliczności w tym roku, mija właśnie 15 lat od momentu, gdy kapryśne jury „Wiadomości Literackich" wyróżniło „Brzemię Niebieskie", jako najlepszą książkę za rok 1934. Dwie następne przedwojenne pozycje „Śpiewna Samotność" i „Monologi Anielskie", wywołały niemal jednobrzmiące oceny pochwalne.

Jeżeli powojenne: „Syn Ziemi", „Piąta Ewangelia" i „Dłonie z Wiatru", ukazują się prawie niepostrzeżenie, to winę przypisać tu należy nie tyle odmianie literackich gustów, ile niezwyczajnej świetności debiutu. Postać Bąka — poety, stała się rewelacyjna już w dniu narodzin jego pierwszego tomiku. Ażeby być rewelacyjnym w permanencji, poeta musi sycić pierwotny żar entuzjazmu co raz to świeższymi i oryginalniejszymi środkami wyrazu. Bąk nie mógł, czy nie chciał pójść tą drogą. Motyw jakby panteistycznego zachwytu lub grozy wobec otaczającego go świata jest uporczywą dominantą prawie wszystkich utworów poznańskiego poety. Przemawia wprost, ogłusza żywiołem poetyckiego ładunku, nie destylując go wpierw przez filtry intelektualnej i artystycznej samokontroli. Pod tym względem żywo przypomina Bąk, Kasprowicza, którego jest namiętnym wielbicielem. Można by dyskutować, w jakim stopniu poezja Bąka jest poezją religijną. W każdym razie religijny ornament bierze w niej zdecydowanie górę nad religijnym typem przeżyć. Fakt ten przekreśla możliwość wykrywania jakichś bliższych związków między Bąkiem, a jego drugim wielkim poprzednikiem Liebertem.

Wydyczne

* * *

Katolicy polscy, świadomi zasad swej wiary i swego poglądu na świat, podchodzą często bardzo niekonsekwentnie do marksistów. Błąd polega na traktowaniu marksistów jako złych katolików.

Marksista, wyznający dialektyczny materializm, nie jest złym katolikiem, bo nie jest katolikiem w ogóle. Nie można zatem zarzucać marksistom braku poszanowania dla autorytetu prawd religijnych, gdyż autorytet ten w ich sumieniu nie ma mocy obowiązującej. Nie można także szukać porozumienia z marksistami, na przykład na bazie prawa kanonicznego, gdyż dla marksisty prawo kanoniczne jest wewnętrznym, prywatnym prawem katolików.

Jedynie zrozumiałą dla marksistów podstawą porozumienia z katolikami w sprawach religijnych mogą być realne potrzeby współczesnego społeczeństwa polskiego. W istocie bowiem metody dialektycznej leży tendencja doceniania zjawisk masowych, a takim niewątpliwie jest fakt potrzeb religijnych w Polsce.

Jesteśmy przeświadczeni, że katolicy tę trzeźwą, polegającą na patrzeniu prawdzie w oczy, podstawę porozumienia z marksistami powinni przyjąć. Światopogląd katolicki bowiem nakazuje szanować konkretne dobro. W tym wypadku konkretne dobro narodu polskiego wymaga: wobec niemożności ani ze strony katolików, ani ze strony marksistów ustąpienia z wyznawanej bazy światopoglądowej — uczynić jak najszybciej wszystko, by odrębność światopoglądowa nie szkodziła odbudowie kraju i nie była wygrywana przez czynniki interesom polskim obce.

Ksiądz Dr Jan Piwowarczyk

Nagrodę Episkopatu Polski za działalność publicystyczną otrzymał jeden z redaktorów „Tygodnika Powszechnego" — ks. dr Jan Piwowarczyk.

Spośród licznej plejady publicystów katolickich wyróżniony został pisarz, który na to zasłużył zarówno swą niezwykle pracowitą działalnością, jak i poważną pozycją, jaką sobie zdobył już przed wojną na odcinku katolickiej problematyki społecznej.

Przed wojną redaktor krakowskiego „Głosu Narodu", członek ówczesnej Społecznej Rady przy Prymasie Polski, powołanej dla wytyczania katolickiej myśli społecznej, autor wielu dzieł poświęconych tej problematyce. Z ważniejszych warto wymienić w pierwszym rzędzie: „Kościół wobec współczesnych kierunków społecznych" oraz „Przyszłość katolickiej myśli społecznej i możliwości jej realizacji". Po wojnie, wraz z Jerzym Turowiczem współtwórca pierwszego polskiego tygodnika katolickiego —

„Tygodnika Powszechnego“ i jego czołowy publicysta.

Jury nagrody wyróżniło zasłużenie niewątpliwie najbardziej pracowitego publicystę. Dorobek publicystyczny ks. Piwowarczyka wynosi bowiem przeszło 80 pozycji, biorąc tylko pod uwagę artykuły zasadnicze, podpisywane jego nazwiskiem. Obok tego chyba drugie tyle dałoby się naliczyć innych prac — artykułów drukowanych pod pseudonimem, notatek, polemik itp.

Spośród publicystów katolickich wyróżnia się ks. dr Piwowarczyk niewątpliwie doskonałą formą swej twórczości. Cechuje go styl jasny, precyzyjny i bardzo przystępny. Wykład jest zawsze skonstruowany logicznie, choć obciążony dużą erudycją socjologiczną — zawsze przejrzysty.

Najlepszy cykl artykułów laureata ukazał się w Tygodniku Powszechnym w roku 1945 — 46, dając z punktu widzenia katolickiego pełną charakterystykę marksizmu. Cykl obejmował 7 artykułów, omawiających kolejno — filozofię, „teologię“, etykę, socjologię, ekonomię marksistowską. Cykl ten wywołał szerokie zainteresowanie i liczne polemiki w całej prasie polskiej. Ks. dr Piwowarczyk jest zresztą niewątpliwie świetnym znawcą literatury marksizmu. W jednej z dyskusji cytował na pamięć nie tylko fragmenty z dzieł Karola Marksa, lecz wskazywał nawet dokładnie strony na których się one znajdują.

O ile w swej publicystyce pierwszorzędnej — znajdujemy u ks. Piwowarczyka wzorowy umiar i dążenie do obiektywizmu, o tyle w jego replikach polemicznych, zwłaszcza tych, które jego pełnym imieniem i nazwiskiem nie są podpisywane — znajdujemy bardzo często wiele ostrych i subiektywnych sądów. Są to oczywiście drobne cięcia polemiczne, które nie przekraczając granic dozwolonych w tego rodzaju zapasach, jednak dowodzą, że pod pozorami spokojnego i obiektywnego, niemal naukowego wykładu drzemie w tym publicyście duża wewnętrzna pasja, zagorzała wola obronienia za każdą cenę swego stanowiska przed krytyką przeciwników.

W swych przekonaniach społecznych i politycznych — był ks. dr Piwowarczyk fanatycznym obrońcą programu „chadecji“, któremu były poświęcone łamy „Głosu Narodu“. Po wojnie, jakkolwiek, jako współredaktor „Tygodnika Powszechnego“ — nie wiązał się on z żadnym kierunkiem politycznym — pozostał w swych przekonaniach wierny tym koncepcjom, jakie w poprzednim dwudziestoleciu chadecja w Polsce głosiła. Broniąc więc pozycyj solidarystycznych, korporacjonistycznych, broniąc w zasadzie nienaruszalności pozycji gospodarki prywatnej we współczesnym rozwoju struktury ekonomicznej Polski, broniąc zasady upowszechnienia własności — więc w istocie wypowiadając się przeciw współczesnym założeniom planistycznym — zajmuje ks. dr Piwowarczyk, naszym zdaniem, postawę społecznie konserwatywną. Nie uświadamia sobie bowiem o ile struktura świata zmieniła się od czasów gdy formułowano program społeczny Chrześcijańskiej Demokracji. Te ostatnie uwagi mają zresztą tylko na celu dopełnić naszą charakterystykę działalności publicystycznej laureata, którą ocenić pragniemy możliwie wszechstronnie. W ocenie jury ta ocena poglądów zapewne nie była w ogóle brana pod uwagę, gdyż Episkopat Polski, jako fundator nagrody, oceniał wyłącznie katolicką postawę światopoglądową — talent publicysty.

Ksiądz dr Jan Piwowarczyk — jako działacz katolicki, jako wybitnie utalentowany publicysta i jako socjolog - erudyta znajdzie na pewno w tym zaszczytnym wyróżnieniu nowego bodźca do twórczej pracy i oczekujemy od niego, że korzystając ze swych długoletnich doświadczeń wniesie do naszej publicystyki nowe i celne oświetlenia, które, wierzymy, przyczynią się do krystalizowania współczesnej katolickiej myśli społecznej.

JERZY KIERST

Młody jeszcze poeta i krytyk teatralny, Jerzy Kierst, otrzymał nagrodę Episkopatu Polskiego „dla młodych twórców“. Nagroda ta, stanowiąca wyraz troski o nowy zastęp twórców katolickich, jest jednocześnie odznaczeniem jednego z najpoważniejszych tego zastępu przedstawiciela.

Debiut poetycki Kiersta „Płomień nad czołem“, obciążony, co prawda, grzechem wszystkich niemal debiutów, bo daleki jeszcze od własnej, oryginalnej formy, jest jednak dowodem rzetelnego stosunku autora do tworzywa poetyckiego. Poeta Kierst zrezygnował z maniery większości przedstawicieli powojennego pokolenia poetyckiego, nie goni za łatwą gierką słowną, nie łowi tanich efektów, słowo stanowi u niego zawsze dysygnat treści ważkich i istotnych.

Zdarzyło mi się kiedyś słyszeć referat Kiersta o poezji, w którym — trochę, co prawda, upraszczając zagadnienie — wyodrębnił dwa jej gatunki: jeden poświęca się rozpuście słowa, drugi odnajduje jego świętość. Nie czas tu i nie miejsce na dyskusję z niewątpliwym schematyzmem takiego podziału. Nie o to chodzi. Chodzi o podkreślenie faktu, że stosunek Kiersta do tworzywa poetyckiego jest stosunkiem opartym na świadomej hierarchii wartości środków artystycznych, na świadomym wprzęgnięciu ich w służbę zasadniczym celom.

Ta sama świadomość znajduje wyraz w krytykach teatralnych Kiersta, z którymi mieli już nie jedną okazję zapoznać się czytelnicy „Przeglądu Powszechnego“.

I jako poeta i jako krytyk zasłużył Kierst na przyznane mu odznaczenie, dając jednocześnie wyraz, że nadzieje w nim pokładane na przyszłość na pewno spełni.

KONRAD GÓRSKI

Prof. dr Konrad Górski, autor pracy „Pogląd na świat młodego Mickiewicza“, wydanej w r. 1925, znalazł dłuższy stage literacki na gruncie literatury pierwszego okresu polskiego racjonalizmu, to jest w w. XVI.

Jest to zrozumiałe. „Pogląd na świat młodego Mickiewicza“ (zawierający, mówiąc nawiasem, dobrą, przemyślaną analizę racjonalistycznego poglądu na świat) stwierdzał niedostateczność osiągnięć filozoficznych polskiego racjonalizmu w. XVIII. Prosta stąd droga prowadziła do w. XVI i XVII, które dały dojrzalsze polskie osiągnięcia, jeżeli chodzi o konstrukcje światopoglądu racjonalistycznego, na gruncie spekulacji teologicznych; była to epoka uwielbienia rozumu, ostatniego kryterium u antytrynitarzy polskich w sprawach dogmatycznych i etycznych, zanim i to kryterium musiało ostatecznie potem skapitulować, wykazawszy swą jednostronność w sądzeniu o rzeczach wiary i moralności.

Monumentalnym dziełem Konrada Górskiego po jego zwrocie w kierunku literatury szesnastowiecznej jest „Grzegorz Paweł z Brzezin, monografia z dziejów polskiej literatury antytrynitarskiej XVI w.“ (Kraków 1929).

Jak to zwykle bywa z pracami fundamentalnymi, z monografii K. Górskiego, mającej jako przedmiot — ustalenie stanowiska literacko-ideowego jednego człowieka, wyrosła w sposób zupełnie naturalny praca, dająca syntezę historii literatury różnowierczej polskiego szesnastowiecza, epoki, pasjonującej każdego żywego badacza, bo epoki o ciekawym fermencie umysłowym, pełnej wątpliwości, drążących polskie sumienia i głowy, pełnej stąd namiętnych sporów i nieustępliwych kontrowersji. Takie jest tło historyczne w książce K. Górskiego, traktowane oczywiście jako tło działalności Grzegorza Pawła z Brzezin (pierwszego właściwie teologa polskiego, który wprowadził język ojczysty do literatury teologicznej, a więc stanowiącego uzupełnienie Bielskiego i Reja). Oto jaki jest kształt książki, którą uznano za najlepszy obraz naukowy różnowierczej literatury naszego szesnastowiecza, wytrzymujący konkurencję dotychczasowych opracowań tego samego tematu. Szesnastowiecze w literaturze religijnej to prawdziwa żyła złota dla badaczy dawnej kultury i literatury polskiej. Raz na tę żyłę natrafiwszy, eksploatuje K. Górski dzieje polskiej literatury antytrynitarskiej w. XVI, idąc w kierunku pogłębienia poszczególnych jej etapów, wiążących się z indywidualnościami Sokołowskiego - Falconiusa, prokursora arianizmu polskiego Piotra z Goniądza i jego egzegety Szymona Budnego. Ostatnie portrety literackie, wydane przez Akademię Umiejętności, są całkiem świeżej daty. Na tym chyba nie koniec. Rozpoczęty przez K. Górskiego tok badań prowadzi prosto jak strzelił do jakiejś syntezy przyszłości, która powinna zastąpić przestarzałą już pracę Tad. Grabowskiego „Literatura ariańska w Polsce“.

Powojenna twórczość K. Górskiego daje — poza wymienioną pozycją — pozycję nową i to dość niespodziewaną w karierze tego uczonego. Jest to „Poezja jako wyraz“ pierwsza u nas synteza teorii poezji, której brak powszechnie odczuwano. Już jako taka powinna budzić zainteresowanie. W czasach dzisiejszych powinna budzić raczej sympatię dla siebie, niż „odruchy“ przeciwne. Mimo wszystko jest przecież wymierzona przeciw „szatanowi“ formalizmu literackiego.

Są to najważniejsze pozycje K. Górskiego, o których należało wspomnieć w krótkim z natury rzeczy szkicu. Poza nimi ma on w swoim dorobku naukowym szereg innych, jak studium o St. Krzemińskim, jak ogłoszoną niedawno wnikliwą rzecz o norwidowej noweli „Ad leones“, jak pierwszą w literaturze naszej syntezę o Erazmie z Rotterdamu, nie licząc prac drobniejszych z dziejów literatury i kultury polskiej, ogłaszanych od ćwierćwiecza z górą w polskiej prasie fachowej.

Całokształt twórczości naukowej — Konrada Górskiego, wyróżniony przez jury nagrody naukowej Episkopatu Polskiego, obejmuje szeroką tematykę, wchodzącą w różne okresy rozwojowe literatury polskiej i obcej, wykazuje wszechstronność zainteresowań naukowych i — co rzecz rzadka u erudytów — „humanistyczną“ jego wrażliwość.

The last but not the least — wszystko formułowane w czystej, klarownej polszczyźnie, w prozie naukowej, łączącej żywość temperamentu pisarskiego z powściągliwością intelektualisty.

Aleksander Gella

Samotny wędrowiec

Wystawa pośmiertna prof. F. Sz. Kowarskiego.

Zdarza się tak najczęściej, że dla szerokiego ogółu wielkość artystów plastyków odkrywają dopiero pośmiertne wystawy ich dzieł. Dopiero stając przed owocem całego ludzkiego życia, można je należycie ocenić. Nie wielu artystom za życia wymierzono uznanie według ich miary. Szczególnie dotyczy to twórców, którzy nie mieszczą się na blejtramach swojej epoki. Do takich należał zgasły w 1948 roku profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, Felicjan Szczęsny Kowarski.

Prof. Kowarski zapisał w dziejach polskiego malarstwa oddzielną kartę. Można mówić o jego twórczości, jak o zjawisku odrębnym, wyrywającym się z całokształtu plastyki polskiej XX wieku.

Komitet Uczczenia Pamięci Prof. Kowarskiego urządził pod protektoratem Prezesa Rady Ministrów wystawę zbiorową, na którą zgromadzono 78 obrazów, 30 projektów polichromii, 77 rysunków i szkiców, 22 kompozycje architektoniczne i 6 rzeźb, dających wspaniały przegląd dorobku artystycznego tego samotnego wędrowca z dżunglii europejskiej sztuki współczesnej.

Nie jest rzeczą łatwą przez całe życie utrzymać jedną linię kierunkową, tym więcej, gdy wiedzie ona pod prąd. Nie jest rzeczą prostą artyście na miarę europejską ustrzec się przed eklektyzmem, zwłaszcza gdy szeroka jego natura trawi zarówno wszystkie zjawiska plastyki współczesnej, jak też aktualnie przeżywa prądy i poszczególnych twórców przeszłości.

Kowarski jest tą wielką indywidualnością, która zdołała oprzeć się wszystkim pokusom pójścia po tej lub owej, wytartej mnóstwem obcych pędzli drodze, i mimo przejęcia się i nawet zachwanego do końca życia uwielbienia dla niektórych twórców i okresów sztuki przeszłości pozwoliła temu artyście pozostać na własnej trudnej i samotnej drodze.

Felicjan Szczęsny Kowarski urodził się w 1890 roku w Starosielcach. I tu młodość okazała się rzeźbiarką. Dzieciństwo spędził po małych miasteczkach Białorusi, Ukrainy, Chersońszczyzny, ale zasadnicze przeżycia plastyczne, decydujące o podstawach, z których miał wyrość talent artysty dał mu długoletni pobyt w Odessie, gdzie twórczą wyobraźnię kształtowało nie tylko zgiełkliwe, pełne barw i kontrastów życie tego pogranicza Południa i Wschodu, ile przede wszystkim kontakt ze śladami antyku, którego szczątki zalegają czarnomorskie pobrzeża.

Studia artystyczne rozpoczął w Odeskiej Szkole Sztuk Pięknych, a następnie kontynuował je w Petersburskiej Akademii. Uzupełnia je zagranicą: Monachium, Paryż, Włochy. W roku 1923 obejmuje opuszczoną przez Wyspiańskiego (w r. 1908) katedrę malarstwa dekoracyjnego i monumentalnego. Rozmiary jego indywidualności nie dają się w żaden sposób zamknąć w ramach krakowskich pojęć plastycznych, kształtowanych przez „Sztukę“, a ledwie że poruszanych przez „Formistów“. Młody profesor łączy liberalną metodę pedagogiczną, pozwalającą rozwinąć się każdej osobowości z dużą dyscypliną pracy. Z okresu krakowskiego pochodzi pierwsze jego monumentalne dzieło: plafony wawelskie.

Dzieła tego omawiać nie będę, gdyż nie zmieści się to ani w tej krótkiej notatce biograficznej, ani w recenzji, której obowiązkiem jest zapoznać Czytelnika z omiawianą wystawą. Na Wystawie są jedynie trzy szkice, nie dające należytego pojęcia o samych plafonach i ich skomplikowaniu z architekturą wawelskiego wnętrza.

Rok 1930 sprowadza prof. Kowarskiego do Warszawy. Obejmuje katedrę w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i rozpoczyna nowy, jeszcze bardziej ruchliwy okres w życiu.

Jednym z pierwszych dzieł tego okresu są „Wioślarze“, nagrodzeni w 1932 r. Obraz ten, dziś oglądany, mimo że nie wysuwa się na czoło wystawy, zwraca uwagę siłą i logiką kompozycji. Tematy sportowe leżały w zasięgu zainteresowań tego wspaniałego humanisty-plastyka, zawsze szukającego okazji do dramatyczno - heroicznego przedstawienia aktu ludzkiego. W swym dążeniu do wielkiego malarstwa zdołał oprzeć się nastrojom okresów, wpływom poszczególnych ugrupowań i prądom z zagranicy, które tak silne wywierały piętno na całej polskiej twórczości międzywojennej. Zachował swą odrębność, co najlepiej świadczy o sile jego indywidualności.

Z tego okresu pochodzą pokazani na wystawie „Wędrowcy“, których umieszczenie obok „Wędrowca“ z 1945 roku najlepiej mówi o bezustannym, wszechstronnym pogłębianiu się malarskiej świadomości artysty. Świadczy też o dziwnym, na pozór paradoksalnym zjawisku. Lata wojny, okres gigantycznych wstrząsów psychicznych wprowadził do twórczości Kowarskiego element spokoju i wewnętrznej ciszy, a napięcie dramatyczne rozładował w większym poczuciu siły, w większej prostocie i ładzie form przy głębokiej powadze kolorytu.

Lata wojny nie złamały profesora. Kryjąc się przed Niemcami; pracuje ze zwykłą sobie intensywnością. Powstaje projekt bazyliki w Skierniewicach, w którym artysta rozwinął całą potęgę swej osobowości, jako architekt, rzeźbiarz i malarz. Maluje w tym okresie pejzaże, pełne spokojnego liryzmu. W roku 1944 powstaje „Don Kichot“ (46), który jest jednym z najlepszych w dziejach polskiego malarstwa rozwiązaniem tego tematu.

Po wojnie staje artysta wobec nowych problemów, które podejmuje z tytaniczną śmiałością i siłą.

Tworzy koncepcje wielkich cyklów: Pierwszy opiewa życie człowieka: „Efeb“ (54), „Grajek“ (57), „Elektra“ (55) i „Kobieta z kulą“ (56). „Człowiek i pies“, „Człowiek i koń“ oraz „Krajobraz“ — pozostały w świecie projektów. Drugi cykl miał uwiecznić tragedię Ghetta. Trzeci — bohaterów walk o polską demokrację. Śmierć stanęła na drodze do realizacji dwóch ostatnich. Zapoczątkowanie trzeciego cyklu w „Proletariatczykach“ (63) mówi o odmiennych założeniach formalnych, z jakimi podszedł do realizacji „portretu-pomnika“. Nie opuścił go przy tym wzniosły patos, o którym powtórzyć można za Słonimskim, że „zagłada porwie włości, gdy przyjdzie duch wolności... lecz twojej pieśni srebrny ton nie minie, o synu Latony“.

Rzeczą charakterystyczną tak dla wystawy, jak i całej twórczości Kowarskiego, jest zupełny brak tzw. „Martwych natur“ i abstrakcyjnych „kompozycji“. Jedyny wielki malarz ostatniego trzydziestolecia, który zdołał oprzeć się Paryżowi! Człowiek był osią jego wszechstronnych zainteresowań i uzdolnień plastycznych. Głębię rozumienia ludzkiego bytu wypowiada kapitalnie w portretach. Głowy Apostołów (23, 24, 25) i głowy żydówki I i II (49, 50) mają nieprzeciętną wymowę. Kolor i formę potrafił artysta doskonale podporządkować treści psychologicznej swych wizji.

Być może Kowarski jest prokursorem tej sztuki przyszłości, która uporawszy się z abstrakcją koloru i formy, zejdzie z Parnasu, by radośnie przywołać do siebie tłumy.

NAGRODA im. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA

KOMUNIKAT III

W DNIU 7 MAJA ODBĘDZIE SIĘ DRUGIE ZEBRANIE JURY NAGRODY IM. WŁ. PIETRZAKA, NA KTÓRYM PRZYZNANE ZOSTANĄ NAGRODY W DZIALE NAUKI, LITERATURY I PUBLICYSTYKI.

W NASTĘPNYM NUMERZE PODAMY NAZWISKA LAUREATÓW.

Zofia Rothertowa

SŁOWACKI I WARSZAWA

Kto zechce w setną rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego — przejść śladami Poety po Warszawie, musi ruiny ulic i domów wypełnić obrazami przeszłości, zobaczyć w wyobraźni ówczesne miasto, przypomnieć to, co powiedział w Listach i Pamiętnikach, jak ujął swoją Warszawę w poezji.

Przeżył tutaj Słowacki dwa lata młodości ambitnej i marzycielskiej. Po ukończeniu chlubnym Uniwersytetu Wileńskiego, jako kandydat obojga praw, odpoczywał Słowacki w Krzemieńcu i na wsi w Wierzchówce, snuł plany na przyszłość, jeden mając cel od dawna wytknięty, aby pisać i zdobyć sławę poetycką. Śniła mu się tragedia o Mahomecie, w guście Fausta lub Manfreda, miał lat 19. Jak mówi w Pamiętniku: „matka moja żądała, abym robił karierę cywilną, w którym z biur... Czułem, że ja nigdy nie stanę na wysokim stopniu hierarchii cywilnej, jednak dla dogodzenia matce w myśl jej wchodziłem — i wkrótce mój wyjazd do Warszawy został postanowiony". „W dniu 15 lutego 1829 roku wyjechałem z Krzemieńca sankami, pocztą — i we dwa dni stanąłem w Warszawie". Podróż, mimo najcięższych mrozów była przyjemna, Poeta jak ze snu obudzony znalazł się na ulicach wielkiego miasta, zajechał od razu do znajomego oficera Steina, do koszar przy ulicy Łazienkowskiej, czyli wówczas już za miastem i zaledwie przebrawszy się wyruszył na poszukiwanie Antoniego Edwarda Odyńca. Pierwszy nie mał krok w Warszawie, przyniósł nie zwykłe emocje: opowiedział je dwukrotnie: w Pamiętniku i w liście do Aleksandry Becu, Olesi. Relacja pamiętnikowa jest żywsza: „Spotkawszy sanki, wsiadłem do nich i kazałem się wieźć do pałacu Zamojskich, gdzie Odyniec mieszkał. Jechałem przez Nowy Świat i oglądałem się wkoło... Z daleka ujrzałem konie noszące, lecz w przeciwną stronę leciały... mało na to dawałem uwagi. Wtem sanki, w których jechałem, zatrzymują się, powoźnika obróciwszy się nie ujrzałem za sankami, a nade mną tuż, tuż, leciały rozhukane dwa konie, schyliłem się w sankach i w tejże chwili oba konie przeskoczyły przeze mnie i tuż przy moich sankach, które z ich sankami zczepiły się, upadły. Przyszedłszy do przytomności, wyskoczyłem i znalazłem się wśród leżących na ziemi koni. Jakaś stara kobieta za rękę mnie wyciągnęła z poplątanych szlei — i wkrótce ujrzałem się wśród tłumu zebranych ludzi, z którego z trudem wymknąłem się... Przypadek ten uważałem, jak za jaką wróżbę mego pobytu w tym mieście".

Odyniec poznał Juliusza Słowackiego z przyjacielem swoim Tadeuszem Hrehorowiczem, Litwinem, urzędnikiem Komisji Skarbu, u którego zamieszkał Poeta, korzystając z uprzejmej gościny przez dwa miesiące. Dzięki poszukiwaniom Leopolda Meyéta da się określić, że pierwsze mieszkanie Słowackiego w Warszawie było w domu przy ulicy Leszno 31 (numer hipoteczny 721). Już jednak z początkiem kwietnia 1829 r. przeniósł się Poeta do domu Paca, na ulicę Miodową. Pałac ten, niegdyś siedziba Czartoryskich, należał, wówczas do Ludwika Paca, który wystawił od ulicy Miodowej, według planów Henryka Marconiego, dwa gmachy, złączone arkadą, ozdobioną na froncie płaskorzeźbą Ludwika Kaufmana, ucznia Canovy. W pamiętnikach swoich pisze Bogusława Mańkowska, z domu Dąbrowska, córka generała Henryka Dąbrowskiego, że w pałacu Paca mieszkało dobrane i kulturalne towarzystwo. Wszyscy się tam znali i odwiedzali wzajemnie, spotykali w ogródku, który był na środku dziedzińca. Słowacki był samotny, po wyjeździe Odyńca i Hrehorowicza. Praca w biurze zajmowała mu czas od godziny 10 do 16. Listy polecające Jana Śniadeckiego do księcia Adama Czartoryskiego otworzyły mu drogę do księcia Lubeckiego, ministra Skarbu i Poeta otrzymał 28 marca 1829 r. posadę bezpłatnego aplikanta w Sekretariacie Generalnym Komisji Skarbu. Pisze o swojej pracy w Pamiętniku: „Wszedłem do biura... i zająłem się nudną finansową pracą — i przy zielonym stoliku Komisji Skarbu większą część dnia przepędzałem... Pamiętam, że mnie wtenczas rozpacz ogarnęła, zdawało mi się, że jestem skazany aż do śmierci w tym biurze pracować... Miniewski, sekretarz, odróżnił mnie zaraz od moich towarzyszy. Byłem w oddziale sekretariatu jeneralnego, gdzie najbogatsza młodzież i krewni ministra pracowali. Miniewski okazywał mi wielką przychylność i dawał mi uczuć, że mnie jako najzdolniejszego uważał. Interesowałem go może cichym smutkiem, z jakim przez całe godziny, milczący przy mojej pracy siedziałem. Zdarzyło się, że, kiedy przyszły dwie bulle papieskie, rozrządzające diecezje pruskie, ja jeden z pomiędzy moich kolegów zdolny byłem do przetłómaczenia ich na język polski, łacina więc nawet przydała mi się w biurze...". Bardzo ambitny i obowiązkowy przedstawiał swoją pracę biurową z najlepszej strony w listach do rodziny. Pisze więc: „Chciałaś wiedzieć, kochana Olesiu, jak mi się w moim biurze powodzi, donoszę ci, że dotąd bardzo dobrze, praca moja, choć nie bardzo uciążliwa, bynajmniej nie jest machinalną, owszem użyty już byłem przez moich naczelników do zdania sprawy z kilku dosyć trudnych z dawniejszych epok interesów, i zdaje mi się, że z nich byli kontenci". Po dwóch latach aplikacji mógł był starać się o etatową posadę. Wypadki potoczyły się inaczej. Dnia 1 stycznia 1831 roku, referent Sekcji Wypłat w Komisji Skarbu, Krasuski, złożył raport dyrektorowi jeneralnemu, referendarzowi Ostrowskiemu, „Że pan Juliusz Słowacki, oświadczył mu w dniu wczorajszym, iż odebrał inne przeznaczenie i, że dlatego opuścić sekcję zamierzał. Z poruczonych mu do załatwienia czynności nie odrobił jedynie pięciu numerów". Tak się skończyła krótka kariera urzędnicza Słowackiego. Z chwilą wybuchu powstania listopadowego, nie było tam istotnie żadnych widoków.

Mimo zamiłowania do samotności i melancholicznych nastrojów — Słowacki bywał w niejednym domu w Warszawie, miał grono znajomych i przyjaciół, interesował się teatrem, i życiem miasta. Musiał być lubiany, skoro znajomi urządzili mu niespodziankę, o jakiej pisze w liście do matki; „W tych dniach wiele bardzo miałem chwil nadzwyczaj przyjemnych. Pamiętasz, kochana mamo, że dzień 23 sierpnia jest dniem moich urodzin — wymówiłem się z tym przed jednym z moich znajomych — i zdziwiłem się bardzo, kiedy mnie w ten dzień zaprosił na wieczór kawalerski. Nie spodziewałem się, żeby kto w Warszawie myślał o moich urodzinach — przyjemnie mi więc było, gdy młodzież zebrana, przepijała do mnie szampana. Staruszek jeden po polsku ubrany siedział w końcu stołu — zdawało mi się, że kochany Dziadunio był na jego miejscu. Winogrona, kawony, melony, Wołyń mnie przypominały i jeszcze bardziej dopomagały iluzji".

Odyniec, który był mentorem Augusta Zamojskiego, wprowadził młodziutkiego Poetę w świat literacki i towarzyski stolicy. Bywał więc Słowacki na rautach u pani Teresy Kickiej, gdzie widywał piękne panny Biszping, pannę Lubecką, Mostowską, Platerównę. Ale szczerze wyznaje, że „Wieczory te były nudne, nieożywione i zwyczaj był w Warszawie w towarzystwach wielkiego tonu, że się mężczyźni do dam młodych prawie nie zbliżali, albowiem te krótkie tylko odpowiedzi w rozmowie dawały i nigdy do niej chętnie nie wdawały się...". „Inaczej było u Węgrzeckich, trzy panny dały mi zupełne wyobrażenie o Warszawiankach. Rodzice byli niczem w domu, one bawiły towarzystwo. Jedna najładniejsza, na sawantkę wyglądała— średnia, najmniej ładna, była najlepszą — najmłodsza, ładniejsza od średniej, w tańcu rej wodziła, jako najweselsza... W domu tym jednak nie znajdowałem przyjemności...".

Ciekawsze były dla Poety znajomości z literatami, poznał w Warszawie Kazimierza Brodzińskiego, Stefana Witwickiego, Bohdana Zaleskiego, Maurycego Mochnackiego. Bywał zapewne w kawiarniach, gdzie zbierali się literaci, może u Brzezickiej, obok poczty na rogu Koziej, gdzie mógł spotykać Ludwika Nabielaka, Chopina, Mochnackiego. Lub w „Dziurce" w pałacu Teppera, przy ulicy Miodowej, albo w Teatralnej — kawiarni aktorów. Wspomina te czasy Bohdan Zaleski, w liście do Konstancji Tomaszewskiej z roku 1844: „Z Juliuszem Słowackim zaznajomiłem się u Stefana Witwickiego w Warszawie pod jesień 1829 roku. Był wtedy młodziutki, bardzo ładny i entuzjasta. Czytał z ogniem swoje poezje i rękopisy zostawił dla poczynienia uwag. Ja wkrótce wyjechałem na prowincję na kilka miesięcy. W roku 1830 widywaliśmy się z sobą często u znajomych, w ogrodach publicznych, w alejach, kędy literaci schodzili się gromadnie. Juliusz żył całkiem w świecie poetyckim, śnił jeno o wierszach. My starsi śniliśmy już o czym innym".

We wrześniu 1829 roku przeniósł się Słowacki do mieszkania przy ulicy Elektoralnej 20 (numer hipoteczny 755) i to było ostatnie Jego mieszkanie w Warszawie, do chwili wyjazdu 8 marca 1831 roku. Dom przy ulicy Elektoralnej 20, była to dawna budowla pałacowa, przerobiona następnie; okna środkowego korpusu wychodziły na ogród. Zajmował tam Poeta dwupokojowy apartamencik, który tak opisuje siostrze: „Muszę ci donieść, że moje teraźniejsze apartamenta są mi bardzo miłe z kilku względów. Naprzód mam okna długie aż do ziemi z galeryjkami i często kiedy świeci księżyc opieram się o nie i zdaje mi się, że jestem w Wilnie i z tobą jeszcze gadam. Pierwsze piętro, i dosyć ludna ulica, przypominają mi bardzo ulicę Zamkową. Nadto ostani pokoik, w którym pracuję, mały, zielono pomalowany z maleńkim piecem, któren się z pokoju pali, podoba mi się nieskończenie i dotąd ciągle w nim siedzę". Spełniając życzenie matki, kupił Słowacki fortepian, jak wówczas mówiono: pantalon — i w swoim małym mieszkaniu mógł grać, a przede wszystkim pisać. Tu powstały we wrześniu 1829 roku: dramat Mindowe, w następnym roku Mnich, Jan Bielecki, Maria Stuart, napisana w przeciągu miesiąca i byroniczny Arab.

Stan swego zdrowia i nastroju charakteryzuje Poeta w Pamiętniku: „Do mego melancholicznego usposobienia przyłączyła się okropna febra, która co dwa tygodnie nowym nawrotem i coraz mocniejsza wracała. Ta wyniszczała wszystkie moje siły, okropne gorączki paliły mnie po każdym paroksyźmie, a wtenczas leżąc twarzą na sofie marzyłem o różnych poematach — i te marzenia były trudzące. Z rozpaczą chciałem je odpędzić i wracały zawsze, a krew, bijąca w skronie, coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy. — Powieść moja Mnich, jest utworem jednej z takich gorączek, ale napisana prawie w 8 miesięcy później. — Tak przebyłem całe lato, siedziałem samotny, trawiony piekielną gorączką i czasem myślą wracałem do Litwy, czasem bawiłem się opowiadaniem oryginalnym mego starego służącego, który podróżował kiedyś z wojskowym panem po odległych krajach i nic z tych wojażów nie pamiętał, oprócz błahych zdarzeń. Nie wiedział, gdzie leży Hiszpania, chociaż w niej był kiedyś. O Węgrach nie pamiętał i nic z nich nie przypominał, tylko jedną olbrzymią kufę wina, która go kiedyś wielkością zadziwiła".

Trudno oprzeć się przypuszczeniu, że ten stary służący powraca w wyeszlachetnionej, literackiej, postaci starego Grzegorza w Kordianie, uzyskawszy pokrewieństwo z Kapralem z Mickiewiczowskiej III części Dziadów.

Słowacki w Warszawie, jak przez całe życie, śnił o wierszach i pracował piórem, ale tym, co działo się w mieście, interesował się z wrażliwością artysty, Teatr był zawsze jego namiętnością. Donosi więc Olesi (Aleksandrze Bécu) w kwietniu 1829 roku: „Teatr warszawski dosyć mnie bawi — będąc na pysznej wystawie Freuszütza, przypomniałem sobie, jak kiedyś Kókólnik, sam jeden rzucając się po pokoju tę operę odgrywał". Jesienią znów porusza temat teatralny: „Mamy tu od niejakiego czasu trupę Chiarinich i sztukmistrza Bosko. Oba te widowiska bardzo mi Wilno przypominają i miłe czynią wrażenie".

Na innym miejscu wspomina o zachwycających dekoracjach do sztuki „Chłop Milionowy", o płaskich dowcipach nieudolnej komedii „Biuraliści", wyśmiewającej urzędników ministerialnych, o tym, że: „w Warszawie otworzył się drugi teatr, nazwany Rozmaitości, tańszy od pierwszego, złożony z młodych uczniów szkoły dramatycznej, którzy ciągle same farsy grają. Nie tak jednak dobrze jak w Wilnie „Damy i Huzary".

Zapalony miłośnik książek — zaopatrywał się Słowacki w nowości wydawnicze w księgarni Natana Glügsberga, księgarza i typografa królewsko - warszawskiego Uniwersytetu. Śledził ruch literacki w czasopismach, zachwycał się świeżo ogłoszonym w nowoczniku 1829 „Melitele" — Farysem Mickiewicza. Zabawą były dla niego „kłótnie między poetami i recenzentami warszawskimi", których —jak mówi — „rozdrażniła i porożniła na wieki przedmowa Mickiewicza w petersburskiej edycji dzieł jego, przeciwko recenzentom klasycznym napisana". Słowacki — romantyk, wielbiciel Byrona i Mickiewicza, doświadczył złośliwości krytyki warszawskiej; gdy w roku 1830 w „Melitelі", ogłosił bezimiennie powieść poetycką „Hugo", recenzent „Gazety Korespondenta Warszawskiego", dał wówczas wyraz swemu niezadowoleniu, że po naśladowcach ballad Mickiewicza zjawia się naśladowca „Konrada Wallenroda". Pochlebną ocenę otrzymał „Hugo" w „Pamiętniku Umiejętności Moralnych i Literackich", a krytyk okazał się dobrym prorokiem, pisząc: „Autor „Hugona", powieści krzyżackiej, chociaż się nie nazwał, może być pewnym, że o nazwisko jego dopytywać się będzie publiczność i wyglądać więcej płodów jego pióra".

W Warszawie zwłaszcza w pierwszych miesiącach pobytu, tęsknił do swoich, drogich i do Wilna. W kwietniu 1829 roku pisze: „A mnie w Warszawie tak smutno, tak nudno! tak mi czegoś nie staje, tak mi wszystkiego nie staje!... Pozajutro już w Warszawie Wielki Piątek, będę obchodził groby, będę się przypatrywał ładnym i ładnie przystrojonym damom, jednakże po skończonych świętach chętniebym do Litwy na Wielkanoc pojechał...". Kiedy indziej skarży się, wspominając Krzemieniec: „Niezmiernie tęsknię za górami i lasami, tutaj takie puste okolice, tak smutne, że aż rozpacz ogarnia".

Pogodniejszy ton ma opis wigilii świętego Jana nad Wisłą: pisze Słowacki tegoż wieczoru: „Powracam właśnie teraz z mostu nad Wisłą — jest to wilia Św. Jana, dzień, w którym dziewczęta tutejsze, chcąc się dowiedzieć o prędkim zamążpójściu, rzucają wianki na wodę, za wiankami tymi upędzają się na przyczółkach przewoźnicy i łapią, skoro doścignąć zdołają, to wszystko przedstawia bardzo ożywiony widok, często się zdarza, że psy do aportowania wprawne, podżegane od złośliwych chłopaków, wpław się za wiankami rzucają i wynoszą one na brzeg, a stąd zaraz dziewczęta źle sobie rokują na przyszłość i smutek przynajmniej na cały tydzień. — Cała publiczność warszawska w dniu tym zbiera się na moście. Mnóstwo dam ładnie ubranych, łowi, nie mające się na baczności serca, przyznam ci się jednak, że się dotąd oswoić nie mogą z przysadą i kokieterią, która tu już ładne i brzydkie ogarnęła". Sąd więc Słowackiego o warszawiankach nie był zbyt pochlebny.

Okolice Warszawy, przyroda wsi mazowieckiej, wzbudziły serdeczniejsze słowa. We wrześniu 1830 roku, wybrał się Poeta w towarzystwie Potockiego — w odwiedziny do sędziwego Juliana Ursyna Niemcewicza, Nestora Poetów ówczesnych, aby przeczytać mu swoją tragedię „Mindowe". Obszernie opisuje Matce tę wizytę, dając w tym opisie wyraz wrażliwości na piękno krajobrazu. „Ursynów leży o maleńką milę od Warszawy za Mokotowem. Śliczny był ranek, trochę zimny, mgła lekka, jesienna, pokrywała rozległe i piaszczyste równiny Mazowsza... Myśl, że jadę do starego poety, który wiek Stanisława Augusta z naszym wiekiem łączy, zajmowała mnie bardzo...". I dalej „Śliczny starego Ursynów, zarosły wielkimi drzewami, bardziej do dzikiego lasu, niż do ogrodu podobny — w wielu miejscach małe widać łąki, na których wybiera paszę jedyna krowa Niemcewicza: z tej krowy, jak sam mówił, ma dwa złote na tydzień przychodu. Przyszliśmy wkrótce do małej altanki z kory, na której wszyscy podróżni piszą wierszyki na pochwałę Niemcewicza, żadnego jednak napisu nie widać, bo je staruszek zdzierać kazał przez skromność".

Głęboki ślad w pamięci i wyobraźni Słowackiego pozostawiły te wrażenia, których doznał patrząc na koronację cara Mikołaja I, na króla polskiego w czerwcu 1829 roku. W listach opisuje żartobliwie warszawską pompę; zaspakaja ciekawość Olesi: „Chciałaś, żebym ci opisywał nasze fety koronacyjne, próżna byłaby to praca, bo już dawno i dokładnie wszystko gazety opisały, ogólnie ci tylko powiem, że na koronacji najładniej się wydawał amfiteatr dla dam wzniesiony, migający się mnóstwem różnobarw-

nych parasolików, między którymi powiewały strusie pióra i piękne od kapeluszów kwiaty. szkoda tylko, że nie mogę tu dodać, że piękność dam gasiła blask i świeżość zdobiących je kwiatów. amfiteatr ten lepiej się wydawał zdaleka, niż z bliska. — Przy tryumfalnym wjeździe najlepiej się popisali szambelani. kilku z nich za pierwszym wystrzałem z harmat pospadało z konia, prezentowane damy Cesarzowi, także dosyć niezgrabnie się popisywały, jedna wszystkie ukłony, należne Najjaśniejszemu Panu, oddawała mistrzowi ceremonii, druga, ściśnięta od Cesarzowej za rękę, pocałowała ją w ramię. Narodową ucztę, urządzoną na wzór fet francuskich dla ludu, bo nawet wino rzęsiście z fontann płynęło, przerwał deszcz nawalny, tak, że oprócz pijanych, nikt nie został na placu".

Z tej koronacji stworzy Słowacki w roku 1832 w Kordianie wspaniałą, dramatyczną scenę. Damy na amfiteatrze zastąpi lud warszawski, koń Wielkiego Księcia Konstantego, stratuje dziecko, a gdy wśród ucztującego tłumu, w zapadającym mroku, zabrzmi śpiew Nieznajomego:

„Pijcie wino, pijcie wino!
Nie wierzcie, że to cud...".
...„Trzeba wino w krew
przemienić,
Przemienione wino pić!..."

— w słowach tych zadrży rewolucyjna Warszawa.

Wybuch Powstania Listopadowego zastał Poetę w Warszawie, aplikanta Komisji Skarbu. Serce jego i talent porwane cudem chwili współbrzmiały z nastrojami rodaków Wiedzony trafną intuicją, nawiązał Słowacki do najstarszej pieśni polskiej w „Hymnie Bogarodzica". Upajał się słowem: wolność, jak musieli się nim upajać wówczas wszyscy w Warszawie.

„Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron!".

Ten Hymn, ogłoszony bezimiennie w Kurierze Polskim, 7 grudnia 1830 roku, trafił do serc czytelników. Wyszły następnie jako osobna broszura dwa utwory Słowackiego: „Oda do Wolności" i „Hymn Bogarodzica" — wydane w drukarni przy ul. Królewskiej w roku 1830. Jest to pierwsze oddzielne wydanie utworów Słowackiego. W roku 1831 wydał Poeta własnym nakładem „Kulig Polaków" — i wiersze te zdobyły mu sławę.

Warszawa była jedynym środowiskiem, które przyjęło gorąco, bez uprzedzeń, młodzieńcze, bojowe pieśni Słowackiego.

Dlaczego Słowacki, mimo rewolucyjnego uniesienia opuścił walczącą Warszawę — trudno powiedzieć. Zwierza się matce, że ofiarowywał swoje usługi w biurze dyplomatycznym, ale nie byłaby to praca pożyteczna, kazano przepisywać, pracowali hrabiowie. „Trzeba było wstąpić do wojska, miałem aż nadto do tego chęci". Zapewno czuł, że do noszenia karabinu nie starczy mu sił fizycznych. Ukryte chęci zgadzały się z wolą matki i skorzystał z przysłanego paszportu, aby 8 marca 1831 roku wyjechać z Warszawy. Pożegnał tego dnia mieszkanie przy ulicy Elektoralnej, opuszczając na zawsze Warszawę i „śliczny kraj", do którego, jak sam pisał, wiedziony przeczuciem, nigdy już nie miał powrócić.

Sercem pozostał związany z Warszawą. W śnie proroczym przeczuwał krwawe wypadki, jakie miały miejsce w Warszawie 15 sierpnia 1831 roku. Był wówczas w Londynie, szczęśliwy, że Rząd Narodowy powierzył mu misję kuriera dyplomatycznego. Gdy opowiedział gospodarzom Anglikom swój krwawy sen — mieli go potem „za obdarzonego drugim widzeniem". Tego dnia wieszano na ulicach Warszawy ludzi posądzonych o zdradę, zrewoltowane masy burzyły się przeciwko wodzom, którzy nie do zwycięstwa doprowadzili, ale do klęski.

Warszawa żyje w poezji Słowackiego. Kordian, to Spisek Koronacyjny, to Katedra świętego Jana, plac Zamkowy i Zamek. Wiersz pt.: „Ofiarowanie" — jest dedykacją dla Warszawy, poprzedzającą „Poema Piasta Dantyszka, herbu Leliwa o Piekle". W słowach Poety są zaklęte nie tylko łzy, ale i przekonanie o sile twórczej:

„U nóg twych kładę. O! żałobna
wdowo
Polskiego ludu! O! Matko
w żałobie
Tych, co śpią w krwawym
pochowani grobie,
I tych — co wierzą, że
wstaniesz na nowo...".

Słowacki potrafił z przejmującą prostotą, prawie unikając stylu, wierszami jak na ludową nutę — przedstawić bohaterstwo generała bez nogi — w utworze: „Sowiński w okopach Woli". Wiersz z lat 1845 zaczyna się od słów:

„W starym kościółku na Woli
Został jenerał Sowiński,
Starzec o drewnianej nodze,
I wrogom się broni szpadą,
A wkoło leżą wodze
Batalionów i żołnierze
I potrzaskane armaty
I gwery... Wszystko stracone!"

Wiersz: „Uspokojenie", napisany w ostatnim okresie twórczości, zapewne w roku 1847 — jest wizją walczącej Warszawy. W tej niezwykłej poetyckiej symfonii, kolumna Zygmunta jest struną, na której wicher rewolucji gra, jak na instrumencie, żyją tu i należą do orkiestry domy i ulice Starego Miasta, drży kościół świętego Jana, a z mroku wyglądają „szkła okien, jak zielone Kilińskiego oczy". — Taką widział Słowacki swoją Warszawę — bohaterską, męczeńską, ludową i rewolucyjną:

„Co nam zdrady! Jest u nas
kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne
żórawie,
Spotkawszy jej liściane czoło
u obłoka,
Taka zda się odludna i taka
wysoka!
Za tą kolumną we mgły tęczowe
ubrana
Stoi trójca świecących wież
świętego Jana.
Dalej ciemna ulica, a z niej
jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej
Miasto Stare.
A dalej jeszcze we mgle,
która się tam mroczy
Szkła okien — jak zielone
Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem
latarni,
Niby oczy cichego upiora
spod darni.
Więc lada dzień, a nędza
sprężyny dociśnie,
To naprzód tam na Rynku
para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską
na przestrzał ulicę...".

Po latach przeszedł ulicami Warszawy drugi pogrzeb Poety. Dnia 25 czerwca 1927 roku, przewieziona została trumna z prochami Słowackiego z Paryża do Havre'u, potem — jak pogrzeby bohaterów jego poezji — popłynęła na okręcie morzem do Gdańska, Wisłą — statkiem „Wilią" do Warszawy. Przeszedł kondukt żałobny Aleją 3-go Maja, Nowym Światem, zatrzymano trumnę przed bramą Uniwersytetu, pochód — wśród kwiatów i tłumów ludzkich ciągnął Krakowskim Przedmieściem pod kolumnę Zygmunta, następnie do dworca.

Trumna Słowackiego spoczęła w Krakowie, na Wawelu.

Kult Słowackiego w Warszawie znalazł dotąd skromny wyraz. W roku 1900, dnia 26 listopada odbyło się odsłonięcie i poświęcenie w kościele świętego Krzyża, tablicy pamiątkowej, ufundowanej przez Halinę Tokarzewską. Roboty rzeźbiarskie wykonał Jan Woydyga, portret Poety na blasze miedzianej wymalował Bronisław Wiśniewski. Tablica ta zachowała się na miejscu, wmurowana na pierwszym filarze lewej nawy. Pochodzi z czasów wielkiego ucisku i jakgdyby wita Poetę u progu dwudziestego wieku.

W roku 1908, dnia 4 listopada, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Przeszłości, Sekcja Starej Warszawy, uczciła zbliżającą się setną rocznicę urodzin Poety, wmurowaniem tablicy nad bramą domu przy ulicy Elektoralnej 20. Warszawianie znali tę tablicę z prostym napisem: „W tym domu mieszkał w latach 1829—1831 Juliusz Słowacki", — mogli ją oglądać aż do roku 1944, póki dom i cała niemal ulica po Powstaniu — nie zamieniły się w gruzy. Jeśli odbuduje się w dawnej formie dom, w którym mieszkał Słowacki, wróci zapewne na dawne miejsce i tablica pamiątkowa. A Warszawa powinna uczcić Poetę, który najpiękniejsze wiersze jej poświęcił — pomnikiem godnym wielkiego Artysty.

Zofia Rothertowa

RZYM MIASTO OTWARTE

„Rzym miasto otwarte" powstał po uwolnieniu Rzymu. Przeszło cztery lata dystansu, które dzielą nas od chwili powstania filmu pozwalają w pełni ocenić jego ogromne znaczenie. Dziś wiemy nie tylko to, że Rosselini stworzył film w istocie awangardowy, ale także i to, że powstało arcydzieło nowego stylu. Film zasługiwałby na bardzo dokładne i precyzyjne opracowanie, które by pozwoliło na częściowe ujawnienie tajemnic jego wielkości. Recenzent rozporządzając bardzo skromnym materiałem i ograniczeniem miejsca nie może przeprowadzić takiej analizy na jaką ten obraz zasługuje. Zajęcie się strukturą filmu pozwoli może na określenie niektórych cech, które decydują o wartości dzieła Rosseliniego.

Tematem filmu jest walka z faszyzmem. Początkowe sceny nie określają ściśle tematu historycznego, dowiadujemy się tylko, że jest to okres, w którym Amerykanie bombardują Rzym. W połowie filmu epizod dezertera Austryjaka określa w przybliżeniu datę (okres walk o Monte Cassino).

Scenariusz zawiera zdarzenia trzech dni.

Właściwa ekspozycja jest bardzo krótka. Oddział niemiecki maszerujący ulicą Rzymu. Następny epizod rewizji w mieszkaniu inżyniera Manfredi zawiązuje akcję. Pierwsza scena w Gestapo odkrywa kulisy i znaczenie rewizji — określa wymiary zawiązującego się konfliktu. Późniejsze sceny rozwijają konflikt, ujawniają ludzi i ich charaktery. Ta część, aż do chwili obławy w domu Piny, spełnia potrójną rolę w rozwiązaniu dramatycznej konstrukcji filmu. Z jednej strony odkrywa czynniki, które decydują i będą decydowały o dalszym przebiegu zdarzeń, jest wbudowaną w akcję ekspozycją, z drugiej posuwa akcję, z trzeciej wreszcie stwarza jakąś zwartą i precyzyjną miniaturę świata, tworzy skomponowany wycinek rzeczywistości. Wydaje się, że skonstruowanie pełnej, przenikliwej wizji życia, nadanie jej cech obiektywnej konkretności jest jedną z cech decydujących o wielkości tego filmu.

Scenariusz nie rozbudowuje akcji wstecz. „Dzieje przedakcyjne" zostają wprowadzone marginesowo, tylko wtedy kiedy pozwalają lepiej zrozumieć ludzi albo tłumaczą zdarzenia. Określone jest pochodzenie socjalne Mariny, wiemy, że Pina pracowała w zamkniętej już fabryce, poznajemy skrót politycznych dziejów Manfrediego, historię poznania Franciszka i Piny. Te minimalne informacje wykraczające poza ramy pokazanych trzech dni całkowicie wystarczają.

Obława w domu Piny jest punktem zwrotnym. Następujące po niej sceny odbicia więźniów i przygotowywane usunięcie od niebezpieczeństwa Franciszka i Manfrediego są ostatnim rozładowaniem napięcia przed ostatecznym rozwiązaniem, szczęśliwym zwrotem, który poprzedza katastrofę (odłożenie słuchawki przez Marinę, słoneczny poranek, stworzone przez chwilę perspektywy bezpieczeństwa).

Aresztowanie i sceny w Gestapo wywierają zamierzone wrażenie przez to, że jesteśmy całkowicie przygotowani na to co się musi stać. Odczuwamy nieuchronność wszystkiego tego co zostaje powiedziane i pokazane. Odczuwania nie mąci ciekawość, zainteresowanie ubocznymi sprawami lub niepewność. Zdajemy sobie sprawę z tego, że do takiego rozwiązania prowadziło wszystko to, co zostało przedtem pokazane.

Charakteryzując cechy dramatycznej struktury filmu można ją wyrazić w krótkim schemacie. Początek akcji jest jednocześnie początkiem konfliktu. Konflikt narasta, rozwija się zależąc od pewnego istniejącego w chwili jego zawiązania układu warunków i od stosunku charakterów. To wszystko musi być wyjaśnione, aby przebieg zdarzeń był jasny i logicznie powiązany. W filmie „Rzym miasto otwarte" wyjaśnienia są wbudowane w akcję. Śledząc rozwój wypadków, które absorbują naszą uwagę nieświadomie dowiadujemy się o tym wszystkim o czym musimy wiedzieć, aby pojmować sytuację. Moment kryzysu przychodzi w chwili, kiedy nasz pogląd jest pełny i kryzys naturalnie, logicznie, wynika z tego co się działo. Ta struktura ma swój wyraz w użytym stylu, sposobie wyrażania. Pierwsza część filmu jest wielowątkowa, ukazuje szczegóły różnej wagi, rozładowuje nastrój epizodami pełnymi humoru, ukazuje różne postawy wobec tych samych zagadnień, zatrzymuje uwagę czasem na sprawach, które można by określić jako powierzchnię życia, żeby zaraz pokazać te, które interpretują samą istotę najważniejszych ludzkich problemów. Należy podkreślić, że wszystkie pozornie niezwiązane z przebiegiem nadrzędnego konfliktu obrazy i wątki są ważne i potrzebne. Wydaje mi się, że nie można znaleźć żadnego nieuzasadnionego epizodu. Każdy z nich, albo wzbogaca naszą wiedzę o bohaterach, interpretuje ich postawę, albo konstruuje wizję świata w którym żyją. Atak na piekarnię, zakrystian, dziewczyny z koszami na schodach, nocny patrol itp tworzą artystyczną rzeczywistość. — Dezerter Austryjak, głodny zakrystian, zabicie owiec, figurka świętego Rocha odkrywają cechy bohaterów, stwarzają ich pełną sylwetkę(funkcja zakrystiana wydaje się ciekawa nie tylko dlatego, że wprowadza akcent humoru, jest kontrastem do postaci księdza, ale i dla tego, że służy do poinformowania, że ksiądz jest biedny, że jest także głodny, oświetla życie i charakter księdza).

Druga część filmu jest już całkowicie skupiona na rozwiązaniu. Jednolita w napięciu, jednoznaczna. Nie kładzie nacisku na zdarzenia, na zewnętrzne cechy życia, nie kontrastuje sytuacji, zatrzymuje się tylko na rzeczach moralnie znaczących. (Epizod pijaństwa w pokoju Gestapo nie spełnia funkcji rozładowania nastroju, ani nie odwraca uwagi od walki, która się obok toczy. Przemówienie pijanego dowódcy plutonu egzekucyjnego podkreśla charakter konfliktu moralnego. Tu zostaje wygłoszona ocena zbrodni, metod rządzenia i walki prowadzonej przez Niemców, — ocena, która ma wagę przez to że wychodzi od Niemca i to Niemca, który następnego dnia wykona wyrok na księdzu. Słowa tego Gestapowca przygotowują w jakiś sposób efekt, który wywrze rzucone przez księdza wstrząsające przekleństwo).

Nie bez znaczenia są stosunki czasowe poszczególnych części filmu. Pierwsza część trwa 67 minut (od początku do obławy 45 min., obława 8 min. odbicie i sceny przed aresztowaniem — pozostałe 14 min.). Druga część filmu od chwili aresztowania do końca zajmuje 30 minut. To wyliczenie pokazuje jak zwięzła (dwie trzecie filmu) jest akcja do chwili katastrofy i jak wiele zajmuje rozwiązanie. Trzeba tu podkreślić, że rozwiązanie, które normalnie bywa bardzo krótkie (katastrofa bowiem już rozstrzyga akcję), tu jest niezwykle rozbudowane. To że przez te trzydzieści minut napięcie widza nie słabnie, świadczy o mistrzowskiej konstrukcji tej części.

Uderzający w tym filmie jest wybór ludzi i sposób w jaki zostają pokazani: sumienne ich odpatetycznienie. Rosselini nie stara się o danie przekroju wielu środowisk, zatrzymuje uwagę widza na jednym — robotniczym. Tu koncentruje się walka o wolność. Manfredi jest inteligentem związanym z walką i prowadzącym ją. Są typy Niemców Gestapowców, są ich naturalni sojusznicy — włoscy faszyści i ich podwładni (komendant policji, policjanci, włoski pluton egzekucyjny), są wreszcie zdeklasowane robotnice, które chęć łatwego życia prowadzi do zdrady, i jest ksiądz któremu prawdziwie kapłańska postawa każe stanąć po tej stronie barykady, gdzie walczy się o sprawiedliwość. Mimo to, że film nie kolekcjonuje przedstawicieli wszystkich istniejących środowisk wydaje się, że wyczerpuje zasadnicze postawy w stosunku do okupanta i motywy działania.

Cała pierwsza część filmu pokazuje zwykłość wybranych ludzi. Niespotykamy ani jednego bohatera nadczłowieka. przeciwnie, u wszystkich pozytywnych postaci precyzyjnie wydobyto ludzkie śmiesznostki. Powstać może pytanie, czy to nie jest może jakaś nadbudowa psychologiczna. Ale tu właśnie wydaje się leży jeden z punktów ciężkości wymowy tego filmu. Podmiotem głębokich konfliktów, wielkich wartości moralnych nie są jacyś wyrastający ponad zwykłą miarę ludzie. Ich wielka mądrość, cechy pozytywne są tu przedstawione jako właściwości codziennych, przekonanych o własnej przeciętności osób. Oto ksiądz, zwykły proboszcz, bynajmniej nie jakiś nowoczesny działacz katolicki, zabawnie gorszący się sąsiedztwem św Rocha z rzeźbą nagiej kobiety, usprawiedliwiający się z tego, że zna melodię świeckiej piosenki, pokazuje jak prosta i ludzka a równocześnie jak bardzo trudna jest postawa prawdziwego chrześcijanina. Franciszek, który na schodach w rozmowie z Piną, zwyczajnie i po prostu mówi, że nie wie jak wytłumaczyć, ale wie że będzie na świecie lepiej. Manfredi odpowiadający Antryjakowi: „Nie jesteśmy bohaterami, ale nie wydobędą z nas niczego". W tym uzwykleniu bohaterów zawiera się część wyrażonej w tym filmie wiary w człowieka. Nie w człowieka, który będzie, którego się stworzy— ale w tego, który jest.

Wiara w człowieka wyposaża ten film w akcenty optymizmu. Ten optymizm podkreśla rozwiązanie akcji. Ginie Manfredi, ale pozostają jego towarzysze i organizacja. Ginie rozstrzelany ksiądz, ale zostawia świadków swego życia, wychowane przez siebie dzieci, zostaje wreszcie bliski im obu Franciszek.

(Takiej śmierci przeciwstawione jest samobójstwo dezertera Austryjaka. Wplątany w zdarzenia, których nie pojmuje i w których nie bierze czynnego udziału zostaje unicestwiony przez okoliczności, które decydują o jego losie).

Pijany Niemiec wie dobrze, że śmierć ludzi nie niweczy reprezentowanych przez nich wartości. Film całą swoją zawartością wyjaśnia to widzowi.

Reżyseria i dobór wykonawców, trafność aktorskiej interpretacji zasługiwałaby na obszerne omówienie. Trzeba podkreślić, że wszystkie postacie, nawet drugoplanowe, są obsadzone doskonale. Wybija się Anna Magnani, prawdziwa, bardzo włoska, mówiąca o sobie każdym gestem i Aldo Fabrizi, który wydobywa cały szereg jakichś niezwykle ludzkich cech wykraczających poza normalną interpretację aktorską. Jego dobra twarz w czasie rozmowy z dziećmi, zakłopotanie w drukarni, wyraz jakiegoś mądrego rozumienia spraw ludzkich w czasie rozmowy, niemal spowiedzi, Piny; jego głęboko poruszające zakłopotanie, kiedy rzucony na podłogę więzienia, bezradny, szuka okularów, ekspresja spojrzenia na agentkę gestapo zapalającą papierosa w czasie tortur, wyraz łagodnej, wstrząsającej miłości, gdy patrzy na śmierć Manfrediego i porywająca, ujarzmiająco sugestywna, przemawiająca ekspresją wewnętrznego przeżycia a nie zewnętrznym gestem scena przekleństwa — to wszystko stwarza postać, której się nie zapomina.

Film wykorzystuje w artystycznym kształtowaniu wizji efekty dźwięku i muzyki. Oto jęk w pierwszej scenie w Gestapo odkrywa jednoznacznie perspektywę tego co czeka człowieka aresztowanego. Walenie w drzwi i charakterystyczne bębnienie Londynu. Krzyk katowanego w momencie, kiedy dezerter mówi: nie wiecie co oni mogą zrobić z człowiekiem. Stosowanie muzyki: bardzo wymowny chwyt zastosowania powtarzającego się motywu muzycznego w scenach o podobnym napięciu uczuciowym. Muzyka zresztą odzywa się rzadko w scenach o specjalnym znaczeniu: obława na Manfrediego, wybuch cysterny, początek obławy w domu Piny i moment, gdy po schodach w jej domu wchodzi ksiądz itp. Ważny jest gwizd hasła dzieci powtarzający się parokrotnie i towarzyszący śmierci księdza. Skontrastowanie muzyki jazzowej w mieszkaniu Mariny z nastrojem Franciszka, który przychodzi po śmierci Piny; muzyka fortepianowa w Gestapo, szczególny jej efekt, kiedy Hartman i Marina wchodzą do sali kaźni — i wreszcie ostatni raz powtarzający się znany już motyw muzyczny w chwili, kiedy po egzekucji księdza, dzieci odchodzą na tle rozległej panoramy otwartego miasta.

LESZCZ

Wspomnienie o Joannie Skwarczyńskiej

Był rok czterdziesty i czwarty. Zwyczajny, wojenny dzień we Lwowie. Bezbarwny, szary i nawet nie naznaczony porą roku, taki sam, jak te, co przeszły i te które miną. Dzień zwykłej trwogi. W dziesiątce jadącej z trudem stromą ulicą św. Zofii było pełno ludzi — kobiety z kobiałkami, wypchanymi na placu, mężczyźni z teczkami pod pachą i kupa krzykliwych dzieciaków popychających się wzajemnie w chwiejny rytm dygocącego wozu. Wcześnie rano tramwaje lwowskie były zawsze przepełnione i na przekór otaczającej rzeczywistości wesołe. Gdyby nie różnorodność i przypadkowość ubiorów, gdyby nie suchy, żołdacki i niezrozumiały język — można byłoby pomyśleć, że wojna nie dotknęła miasta swoim groźnym, śmiercionośnym skrzydłem. — Na ławce przy oknie siedziała mała dziewczynka. Była ubrana skromnie. Ciemny płaszczyk odbijał ciemnym kontrastem od białych rąk i twarzy. Z zaciekawieniem i niecierpliwością wyglądała przez szybę — na chwilę odwróciła jasną główkę i zobaczywszy opodal stojącego starszego pana, wstała i bardzo nieśmiało, może nawet zbyt cicho, powiedziała: „Proszę usiąść". Potem przeszła kilka kroków naprzód i stanęła na przedniej platformie.

Lekki wiatr i pęd tramwaju niepokoił jej piękne, ciemno złote włosy. Spojrzała ukradkiem na zegarek i przez jej drobną twarz przemknął wyraz zadowolenia. — „mam jeszcze czas — pomyślała zapewne. Tramwaj dojeżdżał do przystanku obok kościołka św. Zofii. Ludzie poczęli zeskakiwać, a potem wysypali się szybko i bezładnie. Dziewczynka wysiadła ostatnia. Szybko pobiegła w stronę domu parafialnego i za chwilę wycierała nogi na wysokim, ciemnym progu.

Ksiądz Szlec, który zwykle o tej porze wracał z kościołka, przywitał małą radośnie i hałaśliwie: „Dzień dobry, Janusiu, no cóż — prędko będzie przedstawienie?" — „Za ty dzień, proszę księdza" — odpowiedziała równie wesoło, wspinając się schodkami w górę. Zatrzymała się dopiero na strychu. Był duży i ciemny, wyższy niż w zwyczajnych domach i nie obarczony rupieciami, które tradycyjnie kolekcjonuje każde pokolenie w podobnych miejscach. Był to dziwny strych; w głębi, pod tylną ścianą wznosiła się mała, ale prawdziwa scena, z białych prostych desek, co jeszcze bardziej dodawało ekspresji niesamowitemu widowisku. Dziewczynka weszła na scenę, usiadła na krześle i oparłszy się jedną ręką o stół, pochyliła jasną główkę nad szeroko rozłożonymi arkuszami papieru. Dopiero po dłuższej chwili zaczęli się schodzić bywalcy tej dziwnej sali: reż. B. Dąbrowski, T. Suchecka, I. Tomaszewska, Z. Życzkowska, T. Surowa i inni.

Był to polski podziemny teatr, powstały samorzutnie z inicjatywy artystów — a Janusia Skwarczyńska jedną z aktorek. Brzmi to dość dziwnie: małe dziecko i aktorka. A jednak tak, Janusia była artystką, nie z przypadku, lecz z prawdziwego zdarzenia, nie z ambicji ludzi, lecz z woli losu. Urodziła się artystką i każdy jej gest miał coś z tańca i z dramatu, a jej oczy ogromne, zdziwione i ciekawe oczy, kryły w sobie tysiące uczuć i przeżyć, o których jeszcze sama nie wiedziała. Oczy — o barwie nieokreślonej i ciemnej, mieniące się w blasku dnia i reflektorów tajemniczym światłem wewnętrznego piękna i ładu.

Janusia była malutką, nieszczęśliwą córeczką w „Ich Czworo" G. Zapolskiej. Miała unieść na swych kruchych ramionach cały ciężar pogmatwanych losów źle dobranego małżeństwa swoich rodziców. Rolę znała dawno na pamięć — pierwsza ze wszystkich — ale nie dowierzała sobie i w wolnych chwilach zawsze jeszcze przeglądała tekst. Aż kiedyś reżyser i dyrektor teatru powiedział: „Janusiu, przecież ty nawet stronice w tekście pamiętasz" — „To nic nie szkodzi, a jednak zawsze znajdę coś nowego" — odparła rezolutna artystka. Tak, bo Janusia pracowała nad rolą jak dorosły aktor, duszę swoją zmieniała w duszę postaci i była na scenie prawdziwym, nieszczęśliwym dzieckiem. Może stawała jej przed oczyma gehenna wojennej tułaczki, gdy — jakże inna niż w sztuce — matka — była dla niej ojczyzną i utraconym domem.

Pamiętam premierę. Na strychu zgromadziło się ponad sto „zaufanych" osób. Wykazały one swym przyjściem dużą odwagę, gdyż ta teatralna wycieczka mogła się dla wszystkich skończyć w Gestapo. Cisza była tak wielka, że z dalekiej ulicy słychać było szum tramwajów, a z kępy drzew okalających dom — świr ptaków.

Przed kurtyną ukazała się S. Skwarczyńska, współpracująca z podziemnym teatrem. Mówiła o tradycjach teatru polskiego, o dramacie Zapolskiej i o tej dziwnej premierze. Mówiła z trudem opanowując wzruszenie. Przecież to pierwszy polski spektakl w okupowanym Lwowie.

Wzruszeni byli wszyscy. Za kurtyną stała Janusia; przez małą szparkę patrzyła na mamusię i jej duże oczy były jeszcze większe; stała nieruchomo — tylko drobne nóżki zlekka drżały. A później, za chwilę, kiedy mamusia wróciła, przytuliła główkę do jej wysmukłych rąk, jakby chciała wziąć błogosławieństwo na swój pierwszy występ.

Grała cudownie, grała sercem, duszą, całą sobą, płakała prawdziwymi łzami i prawdziwym milczeniem, milczała. Publiczność nie mogła opanować wzruszenia — tu i tam szeleściły chusteczki. Zapomnieli wszyscy o ostrożności, niebezpieczeństwie, okupacji, byli w teatrze wielkim i wielki teatr przeżywali. Po skończonym akcie strych trząsł się od oklasków i tylko ks. Szlec niespokojnie kręcił głową, sam klaszcząc.

Mała Janusia nie mogła mówić z przejęcia, w drżących rączkach trzymała kwiaty — i tylko jej oczy były napełnione szczęściem.

Rozchodzili się wszyscy grupkami — ostatnia wyszła Janusia. Do późna pomagała nam wszystkim i matce składać i przenosić na miejsce rekwizyty. Dyrektor był wyraźnie wzruszony. Ten stary, otrzaskany z wielu scenami reżyser, a w danej chwili „w cywilu" inkasent miejskiej gazowni, wykrzykuje z przejęciem: „Zobaczycie państwo — ta mała będzie kiedyś wielką artystką"

Czas zdawał się spełniać jego słowa. „Ich Czworo" przenieśli artyści w wyzwolonym Lwowie ze strychu na scenę Polskiego Teatru Dramatycznego. Znów grała Joasia. Tym razem w teatrze rozporządzającym reflektorami, rampą i pełnym aparatem scenicznym. Publiczność pokochała swoją „małą Janeczkę" jak pisał Jan Brzoza w „Czerwonym Sztandarze" — a ją samą pochłaniał teatr z dnia na dzień głębiej. Wieczorem „Ich czworo" — a rano — Rano — nowe światy otwierające się przed Joasią: próby analityczne „Wesela" Wyspiańskiego, gdzie otrzymała rolę Isi. Czar poezji zagarnął ją bez reszty. Wrażliwością naiwnego dziecka i instynktem artysty chłonęła wskazówki reżysera. Dla kolegów aktorów specyficznym przeżyciem stawała się obserwacja tego dziecka wtopionego w wizję poety. Zwrócił jej uwagę reżyser, że według wierzeń ludowych trzykrotnie przyćmienie i rozświecenie lampki sprzyja pojawieniu się duchów. I warto było widzieć z jakim cichym, skrzętnym nabożeństwem mała Isia oddawała się obrzędowi trzykrotnego przykręcania i rozświecania lampki; jak — potem — przez szparkę w kulisach chłonęła, cała drżąca, w przeżyciu przekreślającym granice snu i jawy — korowód widm przesuwających się przez scenę. Stańczyk — Rycerz.

Grała ślicznie, furkocąc wstążkami krakowskiego stroju i drepcąc po izbie bosymi nóżkami. Jej drobna postać, wypędzająca na pole ogromnego „śmiecia", Chochoła, nowym rezonansem symbolicznym odbiła się we wrażeniach widzów. Szeptano, że to jedna z najlepszych „Iś", jakie widział teatr.

I już artystką pozostała do końca swego dziewczęcego życia. W Łodzi, w Teatrze Kameralnym Domu Żołnierza — znów była Lilusią w „Ich czworo"; znów grała całą duszą. Potem swoim młodziutkim talentem służyła wszystkim imprezom szkolnym i harcerskim. Aż do ostatniego dnia swego życia. Jeszcze w przeddzień śmierci przy ognisku była Wandą z legendy. Dziwnie w jej życiu zacierały się granice sztuki i jej własnych losów; królowa Wanda w osobie Joanny, zastępowej w „małej piętnastce", na stępnego dnia znalazła śmierć w falach, znów bohaterskim gestem przekreślając siebie — dla drugich.

W trumience wróciła do swojej ukochanej Łodzi, którą wymarzyła sobie jako miejsce swego rozkwitu artystycznego. Jej najgłębszym postanowieniem było wstąpienie do Wyższej Szkoły Dramatycznej; w dziewczęcych rojeniach już układała sobie plan swego wstępnego egzaminu. Na parę dni przed wyjazdem marzyła o recytacji „Pani Aszpergerowej" M. Wolskiej i płomiennego wiersza Wyspiańskiego „Wesoły jestem, wesoły". Jakież przeczucie, jakaż tęsknota kazała temu dziewczątku, predystynowanemu, zdawałoby się, swym urokiem dla urody życia powtarzać na miętnym szeptem:

Ach któryż jestem żywy

Czy ten co skrzydeł loty
przez żywot miał związane,
czy ten co ciska groty
o krzemień gwiazd ciosane?...

Jerzy Horodyński (zast. kier. lit. w Polskim Teatrze Dram. we Lwowie 1944/45)
i Tadeusz Woźniak (artysta Teatru Wojska Polskiego w Łodzi).

JERZY HORODYŃSKI

* * *

Joannie Skwarczyńskiej

I znowu deszcz zatacza srebrne koła
i znowu noc i jak niepokój mgła,
podejdzie mrok do serca i zawoła,
bym szedł po dźwięk, po wiersz, co w chmurach drga.

Z imieniem twym odejdę w czas bezsenny
i zamknę cię w uścisku śpiewnym słów,
choć dzisiaj ty wysoko i nade mną
dziewczęca pieśń, niepokojący nów.

I w pusty krąg przywołam twoje oczy,
maleńki los, który oddalił Bóg,
bo w kropli dżdżu na szybie mej stukoce
ostatni cel ostatniej z twoich dróg.

Drobniutką śmierć — śmierć na poezję chorą
niech zgasi Ten, co czuwa nawet w śnie,
byś jeszcze raz zakwitła w reflektorach,
bym jeszcze raz zapłonął w twojej grze.

Niech w twoim tchu zamilknie ta noc szklana
i na twój szept pochyli niemą twarz,
patrz! bije gong, jak wonnych gwiazd fontanna.
ach, czemu ty za siną szybą łkasz?

To tylko noc uderza w obłok ciemny,
nie wrócisz tu dziecięcą wznosząc skroń
i w głuchą czerń krzyk rzucę nadaremnie,
nim umrze lęk, jak ponad tobą toń.

To tylko deszcz za oknem cicho pada,
jak na twój grób bukiecik białych łez,
jak matek spazm na krzyżach listopada,
by rósł mój wiersz poza twój świat i kres.

Nasz ruch wydawniczy

W kilka miesięcy po zakończeniu wojny, zasłużone dla kultury polskiej wydawnictwo Gebethner i Wolff wypuściło książkę Karola Bunscha, dwutomową powieść z czasów Mieszka I, pt. **„Ojciec i syn"**. Krytyka i publiczność przyjmują ją bardzo przychylnie, i już następnego roku ukazują się dwa dalsze tomy tej powieści pt. **„Dzikowy skarb"**.

Równocześnie ukazuje się nakładem Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej wielka epopea morza Władysława Jana Grabskiego pt. **„Saga o Jarlu Broniszu"**, składająca się z trzech części: **„Zrękowiny w Upsali"**, **„Śladem Wikingów"** i **„Rok tysiączny"**

Również Spółdzielnia Oświatowo-Wydawnicza **„Czytelnik"** wydaje dwa pierwsze grube tomy cyklu powieściowego Antoniego Gołubiewa, pt. **„Bolesław Chrobry"**, **„Puszcza"** i **„Szło nowe"**.

„Czytelnik" przystępuje do drugiego wydania. Teraz oczekujemy na zakończenie cyklu. Tom trzeci pt. **„Złe dni"**, obejmujący okres wojny Chrobrego z Niemcami, będzie się składał z dwóch części. Ostatni tom będzie rozmiarami przypominał **„Puszczę"**.

Przed kilku tygodniami ukazała się nakładem **„Książnicy-Atlas"** książka Teodora Parnickiego pt. **„Srebrne orły"**. Jest to powieść historyczna z czasów Bolesława Śmiałego na przełomie X i XI wieku.

Powieść Parnickiego **„Srebrne orły"** stanowi zamkniętą w sobie całość kompozycyjną. W zamiarach autora pomyślana jest ona jako część wstępna wielotomowego cyklu powieściowego.

Część druga będzie nosić tytuł **„Robotnicy wezwani o jedenastej"**. Część trzecia pt. **„Złote orły"** będzie przedstawiać dzieje upadku królestwa Polskiego za Mieszka II.

etap wkładka miesięczna

Karol Zajczniewski

Chrześcijaństwo a świat nowoczesny

STOSUNEK chrześcijaństwa do nowego świata, który się tworzy, jego pozycja w tym świecie i wpływ na jego kształt — oto jeden z zasadniczych problemów dnia dzisiejszego, któremu tyle uwagi poświęca współczesna myśl katolicka.

Przed paru laty „Esprit" urządził na swych łamach dyskusję na temat „monde chrestien — monde moderne", w której wzięli udział czołowi intelektualiści Francji. „Obecny rozdział między chrześcijaństwem a światem nowożytnym — napisał w odpowiedzi na ankietę Franciszek Mauriac — jest tylko epizodem wiecznego rozdziału między chrześcijaństwem a światem". „Chrześcijaństwo — dodaje Etienne Gilson — nie jest z tego świata, ale jest w nim i zbawia go nie inaczej, jak tylko uświęcając go. Ale podczas gdy chrześcijaństwo go uświęca, świat się odmienia, tak że pomimo wszelkich wysiłków chrześcijaństwo znajduje się nieustannie wobec jeszcze nieuświęconego świata". Dziś jednak — podnosi wielu uczestników — zadanie to jest o tyle trudniejsze, że świat nowoczesny — jako powstający rewolucyjnie, a nie wyrosły organicznie z kultury chrześcijańskiej — jest szczególnie obcy duchowi chrześcijaństwa i oporny jego działaniu. Dlatego obecny moment należy do najtrudniejszych w dziejach Kościoła.

To wszystko skłania nas do przekonania, że konieczny jest gruntowny wysiłek przemyślenia i oceny współczesnej sytuacji. Myśli poniższe, nie pretendując do wyczerpującego ujęcia tego rozległego zagadnienia, mają być próbą określenia zadań, stojących przed młodym pokoleniem katolików oraz sprowokowania wokół tych spraw dyskusji.

1

Pojęcia „monde chretien — monde moderne" uznają materialiści za wykluczające się wzajemnie. Świat nowy, który chcą stworzyć, ma być królestwem człowieka wolnego, świadomego i twórczego, zmierzającego poprzez poznanie tajemnic wszechświata do wprzęgnięcia go w służbę najwyższego celu — szczęścia na ziemi. Chrześcijaństwo jako religia jest rzekomo z natury swojej temu humanistycznemu celowi przeciwne. „Humanizm religijny — wyraża ten pogląd lapidarnie Piotr Hervé — wydaje mi się pojęciem równie sprzecznym jak bezbożny katolicyzm". W walce o nowy świat — o wyzwolenie z jarzma społecznych konieczności i ślepych sił przyrody — chrześcijaństwo, zdaniem jego przeciwników, nie przedstawia wartości jako sprzymierzeniec. Postawie chrześcijanina obcy jest bowiem aktywizm; pojmuje on świat jako harmonijny ład, ustanowiony przez Stwórcę; człowiek winien znaleźć w nim wyznaczone sobie miejsce, a nie dążyć do jego przebudowy. Chrześcijański sceptycyzm w ocenie szczęścia ziemskiego, pesymistyczny pogląd na naturę ludzką, skłonność do godzenia się na cierpienie, wreszcie rezygnacja z aspiracji poznania wszechświata samym tylko rozumem przyrodzonym — wszystko to rzekomo nie sprzyja walce o przyszły humanistyczny świat, a nawet rozładowuje jej napięcie. Stąd łatwo o wniosek: chrześcijaństwo należy integralnie do świata wczorajszego i nie jest zdolne z niego wyjść.

2

Chrześcijaństwo — wbrew twierdzeniom jego przeciwników — nie jest produktem żadnej epoki; jego prawda religijna nie jest bowiem z tego świata. Jeżeli je cokolwiek zatrzymuje w jednej epoce, jest to czynnik ludzki i jako taki ulec musi zmianie. Takim przyrodzonym przyczółkiem Prawdy Objawionej jest przede wszystkim światopogląd religijny — jej ludzka interpretacja.

Wielu współczesnych katolików ulega złudzeniu, jakoby zadanie utorowania chrześcijaństwu drogi w nowy świat sprowadzało się do politycznego układu. Takie uproszczenie jest błędem. Formalne upalsowanie Kościoła w rzeczywistości socjalistycznej bezwzględnie jest sprawą wielkiej wagi i winno być troską wszystkich katolików. Niemniej aby stabilizacja owa doszła do skutku, a nowa pozycja Kościoła była trwała, musi ona znaleźć odpowiednik w nowej rzeczywistości psychicznej najszerszych mas społeczeństwa katolickiego, tkwiących jeszcze często emocjonalnie w świecie wczorajszym.

Dlatego wyrażamy przekonanie, że zadanie wprowadzenia chrześcijaństwa w świat nowoczesny stawiać należy nie na płaszczyźnie politycznej, ale przede wszystkim na płaszczyźnie pracy wychowawczej, zmierzającej do przeobrażenia światopoglądu społeczeństwa katolickiego; przeobrażenia nie w sensie kompromisu, ale w sensie wydobycia z chrześcijaństwa nowej jego treści, której wymagają aktualne warunki historyczne.

Proces rozwoju światopoglądu chrześcijańskiego w zależności od rozwoju świata jest zresztą wieczny; rzecz w tym, by w nim świadomie uczestniczyć. Okresy w dziejach Kościoła, kiedy to człowiek — mówiąc słowami Maritaina — „zapominał o sobie dla Boga", gdy dominujące w światopoglądzie religijnym pierwiastki ahumanistyczne odwodziły go od jego ziemskich zadań, zdaje się należeć do bezpowrotnej przeszłości.

Średniowieczny typ świętego ascety i pustelnika ustępuje typowi innemu, którego życie wewnętrzne skierowane jest na uświęcenie porządku przyrodzonego. Tworzący się równocześnie nowy ideał chrześcijanina to człowiek, który podporządkuje się woli Boga nie przestając być człowiekiem, to jest nie rezygnując ze swego przyrodzonego powołania. Humanizm chrześcijański, którego proces narodzin ciągnie się już od św. Tomasza, osiągnie swój najpełniejszy i najdojrzalszy kształt we współczesnej nam filozofii „humanizmu integralnego" Jakuba Maritaina.

3

Historia Kościoła wykazuje, że wielkie herezje powstają zawsze w okresach zahamowania rozwoju światopoglądu religijnego, gdy w masach wiernych dążność do pełniejszego zgłębienia i przeżycia prawdy religijnej ustępuje miejsca adoracji tradycyjnego, spetryfikowanego jej wyrazu. Powstające wówczas herezje czerpią soki żywotne z zaniechanych przez chrześcijan prawd, podejmując je i rozwijając. Historia wykazuje dalej, że jedyną drogą do przezwyciężenia odszczepieństw było zawsze odkrycie u ich podstaw owej zapomnianej przez chrześcijan prawdy oraz rozszerzenie na nią światopoglądu chrześcijańskiego. W ten sposób herezje są zawsze impulsem, dynamizującym i wzbogacającym chrześcijański światopogląd religijny.

Humanizm chrześcijański zrodził się jako swoista synteza z walki tradycyjnego światopoglądu religijnego z nowoczesną myślą laicką. U podstaw jego leży rehabilitacja i adopcja tych prawd, które — zapomniane przez chrześcijan — przejęli humaniści laicy. Czymże są bowiem w istocie humanistyczne tęsknoty współczesne, jeśli nie najgłębiej chrześcijańskim dążeniem człowieka do przywrócenia utraconego raju? A polecenie „czyńcie ziemię sobie poddaną" czyż nie jest już nie tylko Bożą aprobatą tych dążeń, ale i wezwaniem do walki o człowiecze władztwo nad ziemią?

Pogląd, że ideał nowego świata, podporządkowanego potrzebom człowieka, nie jest sam w sobie sprzeczny z duchem chrystianizmu — oto jedno z zasadniczych pojęć humanizmu chrześcijańskiego.

4

Toteż chrześcijanin-humanista godzi dążenia postępowe z postawą człowieka wierzącego.

Nowoczesny światopogląd chrześcijański uzasadnia aktywizm w postawie wobec świata. We wszechświecie stworzonym przez Boga działalność człowieka ma swoje miejsce, a zakres jej może być tak wielki, na jaki tylko pozwolą ludzkie zdolności poznawcze i siły przyrodzone. Aktywizm człowieka, jego pasja przebudowy świata i dostosowywania go do własnych potrzeb nie jest nigdy w kolizji z dziełem stworzenia, ale przeciwnie — stanowi jego przedłużenie i uzupełnienie. Wyjaśnia to ks. Stefan Wyszyński, obecny prymas Polski: „Pracą ludzką Bóg prowadzi dalszy ciąg swego dzieła stworzenia... Współdziałanie człowieka z dziełami

Jacques Maritain

Ideał historyczny

Poniżej drukujemy fragmenty z dzieła Jakuba Maritaina p. t. „Humanisme intégral", w których autor zajmuje się już nie samym światopoglądem humanizmu integralnego, ale jego konsekwencjami w dziedzinie ustroju społecznego i cywilizacji przyszłości. Wybrane fragmenty określają pewne zasadnicze rysy, jakie posiadać będzie świat nowoczesny, ożywiony duchem chrześcijaństwa.

Dla uzupełnienia dodać musimy, że według Maritaina społeczeństwo przyszłości będzie społeczeństwem bezklasowym; w dziedzinie przemysłu nastąpi uspołecznienie środków produkcji; w dziedzinie rolnictwa istnieć mają gospodarstwa indywidualne, korzystające z dobrodziejstw mechanizacji i spółdzielczości.

TREŚCIĄ tego rozdziału będzie zagadnienie ideału historycznego nowego chrześcijaństwa. Pamiętajmy, że słowo chrześcijaństwo, tak jak my je rozumiemy, oznacza pewien powszechny i doczesny ustrój rozwijający się stopniowo i w zależności od dość zmiennych zresztą form oraz noszący znamię chrześcijańskiej koncepcji życia. Jest tylko jedna, integralna prawda religijna; jest tylko jeden Kościół Katolicki; ale mogą być różne cywilizacje chrześcijańskie i rozmaite pojęcia chrześcijaństwa.

Mówiąc więc o nowym chrześcijaństwie, mówimy o ustroju doczesnym, albo o pewnym okresie cywilizacji, dla którego ożywiającą treścią byłoby chrześcijaństwo i który odpowiadałby klimatowi historycznemu czasów, w które wstępujemy.

ŚWIECKA KONCEPCJA CHRZEŚCIJAŃSKA PORZĄDKU DOCZESNEGO

Wydaje nam się, że ideał historyczny nowego chrześcijaństwa — ideał nowego chrześcijańskiego ustroju doczesnego — choć opiera się na tych samych zasadach (ale tylko analogicznych zastosowaniach) co chrześcijaństwo średniowieczne — zawierałby chrześcijańskie ujęcie doczesności świeckie a nie sakralne. I tak cechy charakterystyczne tej koncepcji będą zarazem przeciwstawiać się poglądom liberalizmu i nieczłowieczego humanizmu okresu antropocentrycznego, będąc równocześnie sprzeczne z tymi momentami, które podkreśliliśmy, w średniowiecznym ideale historycznym sacrum imperium. Odpowiadałyby one temu, co można by nazwać humanizmem integralnym, albo teocentrycznym, będącym odtąd odrębnym pojęciem. Jest to myśl zrodzona w świecie nadprzyrodzonym, która byłaby, jak gdyby gwiazdą tego nowego humanizmu. Nie znaczy to, aby w jego pojęciu należało opuścić tę gwiazdę na ziemię—jak gdyby była czymś z tego świata i jakby mogła zapoczątkować tu na ziemi zgodne współżycie ludzi — lecz chodzi o to, aby światło jej odzwierciadlało się w ziemskim grzesznym środowisku społecznej doczesności i aby mu przewodziło z wysoka. Nie byłaby to już idea nadprzyrodzonej władzy, którą Bóg posiada nad wszystkimi rzeczami, lecz byłaby to raczej idea świętej wolności istoty ludzkiej, poprzez łaskę jednoczącej się z Bogiem.

Wolność w ujęciu liberalizmu, była tylko karykaturą a czasami parodią, tak pojętej wolności.

PLURALISTYCZNA STRUKTURA SPOŁECZEŃSTWA

Pierwsza cecha charakterystyczna: zamiast zaznaczającej się wszędzie dążności do zjednoczenia, które wydało nam się tak typowe dla średniowiecza i po którym nastąpiła wraz z postępującym rozbiciem duchowym koncepcja coraz to bardziej mechanistyczna i kwantytatywna jedności politycznej, następuje powrót do struktury organicznej prowadzącej do pewnego pluralizmu, znacznie głębiej sięgającego niż w średniowieczu.

W średniowieczu zagadnienie pluralizmu wyrażało się przede wszystkim wielorakością a czasem i zagmatwaniem występującym w sądownictwie, oraz zróżnicowaniem prawa obyczajowego.

Wydaje nam się, że dzisiaj w inny sposób należy pojmować pluralizm. Nie mamy tu na myśli jedynie posuniętej do pewnej właściwej granicy autonomii administracyjnej i politycznej, którą winny posiadać wspólnoty regionalne — nie poświęcając dobra i ideałów nadrzędnych dla wartości regionalnych czy narodowościowych. Jasnym jest, że problemy dotyczące mniejszości narodowych domagają się same przez się rozwiązania pluralistycznego. Mamy tu na myśli przede wszystkim heterogeniczność organiczną samej struktury społeczeństwa świeckiego gdy chodzi na przykład o struktury ekonomiczne, prawne i ustrojowe.

W przeciwieństwie do rozmaitych, modnych obecnie, totalistycznych koncepcji państwa chodzi tu o koncepcję społeczeństwa pluralistycznego, które gromadzi w swojej organicznej jedności różnorodne ugrupowania i rozmaite struktury społeczne, realizując w ten sposób pozytywne wolności. „Postąpionoby niesłusznie i równocześnie zakłóconoby w bardzo szkodliwy sposób ustrój społeczny, gdyby odebrano ugrupowaniom niżej zorganizowanym funkcje, które są w stanie wykonywać same, aby je powierzyć wspólnotom szerszym i wyższego rzędu". (Pius XI Encyklika Quadragesimo Anno). Społeczeństwo świeckie składa się nie tylko z jednostek indywidualnych ale także z poszczególnych grup społecznych utworzonych przez te jednostki; społeczeństwo pluralistyczne przyznaje poszczególnym grupom społecznym prawo autonomii możliwie w jak najszerszym zakresie i kształtuje swoją własną strukturę wewnętrzną, zależnie od form typowych dla natury każdej z nich.

OSOBA LUDZKA A WSPÓLNOTA EKONOMICZNA

Jeśli rozważymy teraz inny wielki problem, który wobec przewagi czynnika techniki występuje dziś wszędzie, — problem jakim jest zawodowa, korporacyjna i kooperatywna zarazem organizacja produkcji i konsumcji, to zauważymy, że:

Bożymi podnosi wydajność ich, gdyż człowiek „będąc sobie — przez swą naturę rozumną — w pewnym zakresie rządcą i Opatrznością — przystosowuje je do własnych potrzeb życiowych. Współpraca człowieka sprawia, że to co Bóg zamierzył osiąga właściwe cele. Bóg chciał, aby w to całe bogactwo natury weszła istota rozumna i zrobiła ład, zgodny z jej potrzebami". („Duch pracy ludzkiej").

Postawa chrześcijanina - humanisty nie sprowadza się jednak w żadnym razie do samego aktywizmu, którego przerosty grożą zamianą człowieka w narzędzie pracy. Troską jego będzie zapewnienie w stosunkach społecznych takiego zakresu wolności osobie ludzkiej, by nie zabijać w niej życia wewnętrznego. Toteż trafna wydaje się definicja katolicyzmu społecznego, ukuta przez Marcela Prelot, jako koncepcji polityki społecznej, zmierzającej do humanizacji środowiska. Człowiek bowiem, mówiąc pięknymi słowami Piusa XI, nie może wychodzić gorszy i pospolitszy z warsztatu pracy, w którym martwa materia się uszlachetnia. Dlatego chrześcijanin-humanista pragnie widzieć w nauce nie tylko instrument kształtowania świata zewnętrznego, ale i instrument rozwoju osobowości ludzkiej. Poza techniką, określającą racjonalny sposób działania, musi być nauka także mądrością, określającą hierarchię dobra; poza badaniem tego co jest musi nauka postulować jak być powinno.

5

Afirmując postęp, nie przyjmuje jednak chrześcijanin - humanista materialistycznej jego interpretacji jako zbyt ciasnej i uproszczonej. Żaden ustrój społeczny ani żaden stopień opanowania sił przyrody nie jest w rzeczywistości postępem, jeżeli wolna wola ludzka nie zespoli się z Dobrem. Ostatnia wojna okazała całą potworność i grozę nowoczesnej nauki i techniki, gdy stają w służbie zbrodni. Ujawniła też jałowość i bezsilność wszelkich moralności relatywistycznych, pozbawionych założeń stałych i absolutnych, a montowanych do potrzeb chwili. Toteż postęp cechować się musi równoległością przebudowy świata zewnętrznego i człowieka. Walka o nowy świat musi zarazem czynić lepszymi ludzi, którzy w niej uczestniczą. Tu leży uzasadnienie postulatu etyczności środków walki, który humanizm chrześcijański podnosi do rzędu zasad pryncypalnych.

„Albo rewolucja społeczna jest moralna, albo nie ma jej wcale" — powiedział kiedyś Charles Péguy. Komentując jego słowa Maritain pisze: „Nie oznacza to wcale, że przed przekształceniem ustroju należy wszystkich ludzi nawrócić na cnotę. Tak pojęte nie byłyby niczym innym, jak tylko faryzeuszowskim wykrętem, by ominąć cały wysiłek społecznej przebudowy. Rewolucja jest dziełem stosunkowo nielicznej grupy ludzi, którzy poświęcają jej wszystkie swoje siły: to do tych ludzi skierowane są słowa Péguy. Oznaczają one: w nowoczesnym świecie nie możecie przeobrazić ustroju społecznego inaczej, jak tylko wywołując równocześnie — i to przede wszystkim w was samych — odrodzenie życia duchowego i moralnego, sięgające fundamentów duchowych i moralnych, odnawiając ideały moralne, które będą tej grupie przyświecać i wyzwalając z jej głębi nowy zapał". („Du Régime temporel et de la Liberté").

Od społeczeństwa można wymagać, by miało sprawiedliwe urządzenia ustrojowe — pisze gdzie indziej Maritain — nie można natomiast wymagać, by wychowywało świętych przywódców i działaczy społecznych. Uświęcenie potrzebuje bowiem udziału czynnika nadprzyrodzonego. Znaczenie, jakie katolickie ruchy społeczne przywiązują do roli Kościoła, wynika ze zrozumienia jego pozytywnego wkładu w proces walki i budowy zrębów nowego świata.

6

Mówiąc o humanizmie chrześcijańskim nie mamy na myśli jakiejś jednolitej szkoły o sprecyzowanym programie; taka szkoła nie istnieje. Istnieją natomiast w katolicyźmie współczesnym rozliczne i różnorodne tendencje humanistyczne, wzmacniające się ustawicznie w trwającej walce ideologicznej.

Przoduje w nich Francja, gdzie rozkład starego porządku postąpił najdalej. Nurt chrześcijańskiego humanizmu jest tu szczególnie szeroki i bogaty. Zaliczyć doń można cały wachlarz współczesnych myślicieli i grup katolickich, od Jakuba Maritain poprzez „socjalistów humanistycznych", skupionych wokół „Etudes" i „Temoignage chretien" aż do personalistycznej grupy „Esprit" (Emanuel Mounier). Wspólną postawą tych różnych odcieni jest wysiłek wprowadzenia chrześcijaństwa w świat dnia jutrzejszego. W zakresie dróg do tego celu istnieją między nimi różnice; tak więc gdy Maritain, ostrożny i nieufny wobec nowego świata, liczy się z możliwością katakumb, Mounier usiłuje dojść do porozumienia z siłami, które go tworzą, w myśl zasady, że personalizm winien być „pogłębieniem socjalizmu, a nie sztuczną zaporą ustawioną na jego drodze".

Wśród sił postępowych stanowi humanizm chrześcijański nurt odrębny odrębnością swojej interpretacji postępu, którą uważa za najbardziej realistyczną, i odrębnością swego programu, który uważa za najbardziej wszechstronny i maksymalistyczny. Trudno przewidywać, by nurt ten mógł już w pierwszej fazie budowy nowego świata odegrać poważniejszą rolę; do natychmiastowych, efektownych sukcesów raczej nie będzie zdolny. Natomiast szanse jego powodzenia mogłyby wzrosnąć w dalszych fazach procesu budowy, gdyby w materialistycznych koncepcjach objawiać się poczęły braki.

Hasła humanizmu chrześcijańskiego: jego pojęcie postępu jako doskonalenia zarazem świata zewnętrznego i człowieka, wolności osoby ludzkiej, wreszcie postulat etyczności środków działania — wszystko to może zyskiwać i zyskuje mu zwolenników spośród spirytualistów — niekatolików, a nawet humanistów niewierzących. Wśród tych ostatnich reakcja przeciw przerostom optymizmu i uproszczenia w koncepcjach materialistycznych nie jest dziś rzadkością. Wyrazem jej zbieżności z personalizmem katolickim — jak stwierdza „Esprit" — są większe, niżby się zdawało.

Na tym tle powstaje zagadnienie stosunku chrześcijan-humanistów do ludzi, dążących do zbliżonych celów, choć pozostających formalnie poza Kościołem. W tej kwestii przeważa zaczyna idea współdziałania. Najpełniej realizuje ją we Francji grupa Mouniera, skupiająca się wokół „Esprit" także niekatolików o przekonaniach personalistycznych. „Zakorzeniona u nas mentalność getta — pisze Mounier — każe sądzić, iż chrześcijanie muszą zawsze występować i działać w zwartych szeregach, nawet w tych dziedzinach, które nie dotyczą bezpośrednio ich wiary. Dzisiejsi młodzi katolicy przeciwstawiają się tej mentalności i twierdzą, że chrześcijanie powinni rozpraszać się między ludźmi i — trwając każdy na swym stanowisku — pełnić zadanie człowieka, dając zawsze i wszędzie świadectwo swej chrześcijańskości. Polityka getta, sama w sobie wątpliwa, może dzisiaj stać się dla chrześcijaństwa wprost zabójcza. Świat dzisiejszy ukształtował się już poza chrześcijaństwem, często w opozycji do niego, choć zawsze czerpiąc z jego dziedzictwa. I chrześcijaństwo będzie w życiu tego nowego świata uczestniczyć tylko o tyle, o ile wyrzeknie się swego nadąsanego odosobnienia, jednym słowem jeżeli na wzór swego Założyciela stanie się wśród ludzi dzisiejszych pełnym i żywym człowiekiem" („Znak" nr 3). Stanowisko Mouniera nie jest we Francji odosobnione; wystarczy zauważyć, że wielki katolicki ruch młodzieżowy J. O. C. otwiera swe szeregi dla młodzieży niewierzącej.

7

Złudzenie, jakoby zadanie wejścia w nowy świat sprowadzało się do samego układu politycznego, jest specjalnie niebezpieczne na gruncie polskim. Katolicyzm nasz, pozbawiony w przeszłości takiego dynamicznego bodźca, jak reformacja, antagonizmy społeczne czy prądy materialistyczne na Zachodzie, cierpi na prymitywizm i infantylizm intelektualny. Wygodna pozycja religii panującej, swoiste nawiązanie z tradycją narodową, brak potrzeby walki i nawracania — wszystko to skazało go na powierzchowność i tradycjonalizm. W tym stanie rzeczy przedwczesne wysiłki polityczne, dokonywane przez awangardowe grupy, mogłyby grozić nawet wyobcowaniem ich z łona nieprzygotowanej jeszcze większości katolickiej, wtedy gdy winny w niej pozostawać, spełniając rolę zaczynu.

To wszystko skłania nas do przekonania, że humanizm chrześcijański w Polsce nie może być jeszcze rewolucyjnym prądem społecznym, które to aspiracje skłonny jest wykazywać we Francji. Jego powołaniem będzie natomiast przede wszystkim rola twórczego fermentu, który przeorze światopogląd mas katolickich i poprzez adopcję chrześcijańskich pierwiastków z myśli nowoczesnej oraz rozładowanie konserwatywnych oporów ułatwi polskiemu katolicyzmowi przekroczenie progu nowego świata. Zadaniem jego będzie przeto stworzenie nowej, humanistycznej kultury katolickiej w Polsce — kultury tkwiącej w nowej epoce a czerpiącej natchnienie z chrześcijaństwa — oraz promieniowanie nią na masy.

Szukając sił do tego zadania, nie wolno nam zapomnieć o młodym pokoleniu katolików, którego światopogląd wykształca się w trwającej walce ideologicznej. Pokolenie to jest może najmocniejszą bazą humanizmu chrześcijańskiego w Polsce. Jego reformistyczny zapał, jeżeli wzięty zostanie w karby rozwagi, może być dla naszego katolicyzmu zbawiennym zastrzykiem dynamizmu.

Karol Zajczniewski

nowego chrześcijaństwa

po pierwsze przeciwieństwo pomiędzy koncepcją korporacji a koncepcją związków zawodowych występuje ostro dopiero w ustroju, którego hasłem jest „zdobyć zysk" indywidualny i który przeciwstawia sobie zysk z kapitału czy z przedsiębiorstwa oraz zysk najemnika; po drugie zauważymy, że potrzeby techniczne życia społecznego wytyczają tylko zasadnicze i ogólne zarysy pewnej struktury społecznej, podczas gdy jej specyficzność określają dominujące czynniki etyczne, zależnie od których przyjmuje ona swoją typową postać. Toteż wydaje się, że z punktu widzenia filozofii chrześcijańskiej, wielkim zadaniem, ku któremu w tej czy w innej postaci rozwój gospodarczy zdaje się prowadzić w sposób nieunikniony, będzie przede wszystkim zabezpieczenie przed jakąkolwiek formą upaństwowienia charakteru osoby moralnej, który zwłaszcza w społeczeństwie pluralistycznym należny jest związkom zawodowym i korporacjom. Zadaniem tym jest następnie, aby równocześnie — zapewniając społeczności korzyści takiego ustroju — obronić osobę przed kolektywizacją zrzeszenia. Chcę przez to powiedzieć, że należy z jednej strony zapewnić dobra, których wymaga życie ludzkie a przede wszystkim wszystkie dobra elementarne — jednostkom nie zrzeszonym i nie mogącym zrzeszać się w związki zawodowe i korporacje; z drugiej zaś strony, trzeba zagwarantować w samym łonie tych organizmów prawa i wolność osoby.

Jeśli zastanowimy się nad tym bliżej, to kluczowym problemem, który staje przed nami jest podporządkowanie człowiekowi techniki, maszyny i przemysłu. Komuniści — dalecy krewni Descartes'a, ostatni spadkobiercy racjonalizmu i humanizmu antropocentrycznego — sądzili, że odpowiedź jest prosta; zakładając z jednej strony, że nowa cywilizacja nie powinna się różnić od cywilizacji kapitalistycznej, a ponadto, że powinna być ona w miarę możliwości uprzemysłowioną,— z drugiej zaś strony, że wiedza w sensie racjonalistycznym tego słowa, to znaczy przeciwstawiona pojęciu mądrości, sama poprzez doskonałe planowanie musi doprowadzić do tego, by przemysł stał na usługach człowieka, doprowadzili jednak mimo woli i nieuchronnie do tego, że to człowiek służy przemysłowi i technice. Jeśli wiedza nie humanistyczna, jaką jest wiedza o produkcji rzeczy stanie się czynnikiem regulującym życie, to może mu narzucić tylko ahumanistyczne reguły. Zasadnicze zadanie grupy społecznej o ile nie jest podporządkowane nadrzędnemu dobru osoby, nie może polegać tylko na dążeniu do podporządkowania sobie całego człowieka i na zazdrosnej walce o człowieka z Bogiem i z nim samym ponieważ Bóg jest właśnie dobrem nadrzędnym, które nie może być w żaden sposób podporządkowane osobie.

Prawdą natomiast jest, że nie wiedza, ale mądrość winna regulować nasze życie i że najważniejsza działalność cywilizacji nie należy do zakresu działalności przejściowych ale trwałych: aby doprowadzić rzeczywiście do tego, by maszyna, przemysł i technika stały na usługach człowieka, trzeba by służyły etyce opartej na ideale osoby, miłości i wolności. Byłoby poważnym błędem odrzucać maszynę, przemysł i technikę, które są dobre same w sobie i którymi — wprost przeciwnie, należy się posługiwać aby doprowadzić do dobrobytu. Ale jest czystym złudzeniem niepojmowanie konieczności wyboru pomiędzy ideą cywilizacji w istocie swej przemysłową, a ideą cywilizacji w istocie swej humanistyczną, dla której przemysł jest rzeczywiście tylko narzędziem: poddaną zatem prawom, które nie są jej własne.

Pojęcie planu zmienia więc sens; utrzymuje się ono od momentu gdy zachodzi potrzeba zorganizowania i zracjonalizowania gospodarki. Ale ta organizacja i to zracjonalizowanie muszą być dziełem mądrości politycznej i gospodarczej, która jest przede wszystkim wiedzą o wolności, postępującą zależnie od rozwoju środków ku wytkniętym celom i zgodnie z naturą istoty ludzkiej; mądrość ta stara się uzależnić przemysł nie tylko od samych praw nierządzących, ale także od praw nadrzędnych; nie jest natomiast — jakbyśmy mogli powiedzieć — powszechnym przewidywaniem matematycznym i dąży przede wszystkim do tego, by zawsze regulować produkcję według rzeczywistych potrzeb i rzeczywistych zdolności konsumcyjnych. Nie zapominam, że aspekt techniczny życia społecznego, będąc najbardziej zależnym od potrzeb jest tym aspektem, który się zmienia najszybciej i że struktura gospodarcza nowego chrześcijaństwa może się bardzo różnić od takiego obrazu stosunków w bliskiej przyszłości, do nakreślenia którego skłaniają nas dominujące obecnie techniczne czynniki gospodarki. Ale celem tej dygresji było tylko zasugerowanie, że dominanta etyczna nadrzędna w stosunku do dominanty technicznej, jak to mówiłem uprzednio, sama nadaje strukturze ekonomicznej jej ostateczną specyfikację, oraz jej typową budowę i że jeżeli przyjąć chrześcijańską filozofię człowieka, pracy oraz własności dóbr materialnych to sposób w jaki układają się najważniejsze problemy ekonomiczne zmienia się zupełnie.

SPOŁECZEŃSTWO DOCZESNE I PRZYJAŹŃ BRATERSKA

Wreszcie ostatni rys charakterystyczny, dotyczący wspólnego zadania, które winno wypełnić społeczeństwo; powiedzmy, stosując się do danych w poprzednim rozdziale wskazań, że w cywilizacji chrześcijańskiej nie mogącej już być naiwną, to wspólne zadanie nie pojawi się w niej jako dzieło boskie, które ma na ziemi zrealizować człowiek, ale raczej jako dzieło ludzkie, które ma być zrealizowane na ziemi za pośrednictwem czegoś boskiego— czym jest miłość, — dalej środkami ludzkimi i dzięki wysiłkowi samego człowieka.

Toteż to, co byłoby dynamiczną podstawą wspólnego życia i wspólnej działalności takiej cywilizacji, nie byłoby średniowieczną myślą stworzenia królestwa Bożego na ziemi, ani tym mniej mitem klasy, rasy, narodu czy państwa.

Powiedzmy, że byłaby to myśl nie stoicka ani kantowska, ale ewangeliczna idea głosząca godność osoby ludzkiej, jej powołanie duchowe, oraz miłość braterską, która jej się należy i która ją obowiązuje. Zadaniem społeczeństwa byłoby zrealizować tu na ziemi współżycie ludzi oraz taki ustrój, który by rzeczywiście odpowiadał tej godności, temu powołaniu i tej miłości. Zaszliśmy dość daleko by mieć pewność, że pracy nie zabraknie! Oto

(Dokończenie na str. 8)

TYDZIEŃ KULTURALNY

TYDZIEŃ OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY

TRWAJĄCY w dniach 2 — 8 maja br. Tydzień oświaty, książki i prasy, obok takich zagadnień jak popularyzacja książki i prasy, wysunął jako naczelne hasło realizację ustawy o zwalczaniu analfabetyzmu.

Według danych Ministerstwa Oświaty, akcja zwalczania analfabetyzmu na terenie całego kraju objęła w roku 1946/47 — 13.132 osoby. W tym na kursach dokształcających uczyło się 10.193 osoby, w szkołach powszechnych dla dorosłych — 2.949 osób. W roku szkolnym 1947/48 państwowe szkoły i kursy dla dorosłych obejmowały nauką już 27.588 analfabetów.

Święto oświaty w dniach 2 — 4 maja 1948 r. zmobilizowały całe społeczeństwo i przygotowało do rozpoczęcia masowej akcji zwalczania analfabetyzmu.

Obecnie istnieje 8 tys. kursów, obejmujących nauką 133.000 analfabetów i półanalfabetów.

Prowadzona przez Min. Oświaty, w skali państwowej, akcja zwalczania analfabetyzmu przewiduje przeszkolenie do końca 1951 r. 2.400.000 analfabetów i półanalfabetów. Wykonanie tego zadania nastąpi drogą organizowania kursów, których w okresie od 1.IV. 1949 do końca 1951 r. działać będzie 120.000. Poza tym przewidziana jest nauka indywidualna i w małych zespołach.

Przewiduje się, że w okresie letnim najwięcej kursów będzie zorganizowanych w miastach i ośrodkach przemysłowych.

Na wsi największa liczba kursów będzie zorganizowana w okresach jesienno-zimowych.

W akcji zwalczania analfabetyzmu, poza nauczycielstwem, wezmą również udział organizacje społeczne, partie polityczne, związki zawodowe, Zw. Samopomocy Chłopskiej, ZMP oraz Liga Kobiet. Ponadto szeroki udział wezmą: ZNP, wojsko i SP.

Organizacje społeczne wezmą również udział w akcji zwalczania analfabetyzmu przez zgłoszenie swoich kandydatów do nauczania na kursach (nauczycieli niezawodowych), wzięcie udziału w przeprowadzeniu dokładnej rejestracji, pełnienie kontroli i inspekcji w wykonaniu planu likwidacji analfabetyzmu.

Na przeprowadzenie całej akcji preliminowano 5,5 miliarda zł. Do 31.XII.1949 r. wydatkowane będzie na ten cel 1,5 miliarda zł, z czego skarb państwa pokryje 900.000.000 zł, samorząd 232 mil. zł, KCZZ — 160.000.000 zł, Zw. Zaw. Rob. Rolnych — 8.000.000 zł. Pozostałą kwotę usiłuje się uzyskać ze zbiórki w Tygodniu Święta Oświaty oraz ze świadczeń inicjatywy prywatnej.

Ani jednego analfabety w kraju po 31 grudnia 1951.

W realizowaniu tego hasła winniśmy wziąć udział wszyscy.

CHÓR 100-OSOBOWY

W ramach organizowanych w całej Polsce w maju br. festiwalów muzyki ludowej odbędzie się w Częstochowie występ 100-osobowego chóru jednogłosowego, który pod kierunkiem prof. Mąkoszy wykona pieśni ludowe, zaczerpnięte z Kolberga. Wystąpi poza tym kilka chórów połączonych sześciogłosowych oraz chóry robotnicze, chłopskie i młodzieżowe, kapele wiejskie i zespoły taneczne.

OGÓLNA WYSTAWA FOTOGRAFIKI ARTYSTYCZNEJ

W Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu odbyła się uroczystość otwarcia ogólnopolskiej wystawy fotografiki artystycznej, zorganizowanej staraniem Polskiego Towarzystwa Fotograficznego.

Na wystawie przeważają prace o treści społecznej. Ogółem pokaz obejmuje 126 prac — 85 artystów.

UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA PAMIĘCI PUSZKINA

UNIWERSYTET Mikołaja Kopernika w Toruniu postanowił w związku ze 150 rocznicą urodzin Aleksandra Puszkina uczcić pamięć wielkiego poety specjalną uroczystą sesją naukową, która odbędzie się na początku nowego roku akademickiego.

Na program sesji złoży się szereg odczytów, obrazujących twórczość Puszkina na tle jego epoki.

WYSTAWA PRAC AMATORÓW PLASTYKÓW

Komisja Centralna Związków Zawodowych zorganizowała na czas od 1 do 31 maja br. wystawę prac amatorów plastyków, członków związków zawodowych.

Prace na wystawę zakwalifikowane zostały przez specjalną komisję, w skład której weszli m. in. najwybitniejsi przedstawiciele malarstwa, rzeźby i grafiki.

Teatr N. P. Ochłopkowa

Obejrzenie kilku spektakli Moskiewskiego Teatru Dramatycznego pod dyrekcją Mikołaja Ochłopkowa daje okazję do wyrażenia opinii syntetyzujących. Zamiast recenzji z poszczególnych sztuk postaram się wyłowić kilka ważniejszych cech wspólnych dla każdego spektaklu.

W pierwszym miejscu chciałbym uniknąć coś, o co u nas, w naszym teatrze jest najtrudniej, mianowicie uderzającą w oczy na każdym kroku pasję artystyczną.

Wyraża się ona bardzo różnie. Dowodem jej istnienia jest choćby żywiołowy pęd do włączenia w teatr innych elementów, takich jak muzyka i film. Myślę tu o „Wielkich dniach" Wirty. Wstawki filmowe pozornie są tu tylko środkiem służącym do zamaskowania trwających w tym czasie zmian dekoracji dokonywanych przy podniesionej kurtynie — silny jednak związek treściowy obrazów filmowych ze scenami sztuki stwarza współzależność i każe traktować oba elementy jako jedną zwartą całość. Wtopienie muzyki w jednolite dzieło jest jeszcze wyraźniejsze. Muzyka w inscenizowanej epopei stalingradzkiej nie jest doczepiona mechanicznie do tekstu literackiego, nie służy tylko do wypełnienia antraktów, nie jest użyta jako nastrojowa uwertura — bierze ona pełny udział w akcji. Obserwujemy to w scenie po kapitulacji napastników, kiedy patos muzyki zagłusza patos patriotycznych okrzyków. I to jest słuszne, świadczące o subtelności smaku inscenizatora. Słowa okrzyków mogłyby razić sztucznością sceniczną — szło tu przecież o wywołanie pewnego nastroju. I znacznie lepsze okazało się w tym wypadku użycie muzyki.

Pasja artystyczna ludzi radzieckiego teatru nakazuje stosowanie pełnego bogactwa środków technicznych. Nikt się tu nie liczy z jednością miejsca. Obrazy zmieniają się w tempie zawrotnym, reżyser wcale nie boi się tego, iż ktoś z widowni mimo mroku dostrzeże na scenie cienie zatrudnione zmianą dekoracji — kurtyna zapada niesłychanie rzadko. Inscenizator stosuje całą gamę świateł, z których każde ma być odpowiednikiem nastroju akcji. Niedociągnięcia na tym odcinku w spektaklach warszawskich położyć trzeba na karb inności warunków scenicznych, albo, i to wydaje mi się prawdopodobniejsze, tłumaczyć je przygotowaniem bardzo uniwersalnych środków technicznych, dających możność realizowania spektaklu w każdych warunkach: na nowoczesnej scenie i na hali fabrycznej.

Pasja artystyczna przejawia się także w odwadze sięgania po najtrudniejsze tematy, w temperamencie aktora itd.

Druga cecha, którą podkreślić trzeba, to świetne, czasem wręcz bezbłędne i wzorcowe opanowanie aktorskiego rzemiosła.

W „Wielkich dniach" kilka scen rozgrywa się na Kremlu, a jedna w Białym Domu. Oglądamy Stalina, Roosevelta i szereg innych postaci historycznych, więc Mołotowa, gen. pułk. Wasilewskiego, Churchilla itp. Zjawisko na scenie dość niecodzienne, trzeba było wielkiej śmiałości artystycznej, żeby podjąć próbę wprowadzenia na scenę tych osób, trzeba było wielkiej odwagi aktorskiej, by przyjąć na siebie tak odpowiedzialną rolę.

Realizatorzy sztuki i spektaklu potrafili w sposób zdumiewający i zaskakujący widza wyminąć wszystkie niebezpieczeństwa i trafić na właściwą drogę, na drogę prawdy, na drogę idealnej wierności kopii z oryginałem.

Teksty mówione przez te postacie oparte były w głównych zarysach na wypowiedziach autentycznych. Sposób wypowiadania tekstów, każdy, nawet najdrobniejszy gest, wygląd zewnętrzny postaci wypracowany został w długich na pewno studiach, przez charakteryzatora, reżysera i aktorów w sposób tak drobiazgowy i bezbłędny, że zacierała się zupełnie granica między sceną i widownią, że obecni na spektaklu czuli się czasem, jakby ich ktoś potajemnie wprowadził do sal Kremla.

Zatrzymujemy się przy tym zagadnieniu, bo jest ono ważnym czynnikiem w ocenie. Teatr, mimo próby zmiany punktu ciężkości, opiera się przede wszystkim na aktorze.

Wrażenia wyniesione ze spektakli teatru Ochłopkowa są między innymi pochwałą aktorów radzieckich, którzy z niesłychanym realizmem, z niesłychaną prawdą odtworzyli postacie ludzi tworzących historię, przy czym pokazali ich zarówno w chwilach wielkiego patriotycznego patosu, jak i w chwilach, w których byli oni tylko zwykłymi ludźmi.

Byłoby dowodem wrodzonej, lub (co jeszcze gorsze) sztucznej, celowej ślepoty niedostrzeżenie powiązania pracy radzieckiego teatru z całym splotem zagadnień społeczno-politycznych, występujących w życiu ZSRR. Podkreślić pragnę, że związek ten jest bardzo silny, a przy tym, co godne specjalnej uwagi i wykorzystania w pracy naszego teatru, zwłaszcza naszej dramaturgii, bardzo prosty i szczery. Nie ma tu nic sztucznego, nie ma naginania akcji do potrzeb ideologicznych? Widać coś wręcz przeciwnego: akcja wywodzi się z ideologii, jest jej konsekwencją. Dłuższe doświadczenia w tej dziedzinie, w tej koncepcji teatru, pozwalają autorom radzieckim (też jeszcze nie zawsze — np. „Wiosna w Moskwie" nie jest wolna od pewnych dłużyzn) osiągnąć dużą subtelność w operowaniu akcentami propagandowymi. Jest to sztuka nielada, godna pozazdroszczenia. My u siebie nie możemy się doczekać na pierwszą okazję wypowiedzenia podobnej pochwały.

Jedno zjawisko zaobserwowane w spektaklach Moskiewskiego Teatru Dramatycznego wydaje mi się nieco niebezpieczne. Nie jest to zresztą nic nowego. Choroba wieku, w którym w teatrze na plan pierwszy chce się wybić inscenizator, reżyser i scenograf. Rozmach inscenizacyjny, bogactwo środków technicznych, wstawki filmowe, feeria świateł, wszystko to chce czasem przemawiać do widza zbyt głośno, zagłuszając, umniejszając wagę tekstu literackiego. Spektakle Ochłopkowa były opracowane raczej od strony wizualnej. Być może, iż w grę tu wchodzi tendencja do realizowania spektakli, na które przychodzą jednorazowo tysiące widzów (trzeba dać coś i tym, którzy trafią na najdalsze miejsca) być może, że oglądane pozycje repertuarowe opracowane zostały specjalnie dla widzów, z których tylko część zna język rosyjski, wydaje mi się jednak, iż autorom tekstów literackich działa się krzywda, że teatr zadowalał się zapewnieniem widowni możliwości poznania fabuły tylko w grubych jej zarysach. Nie jest to właściwe zestawienie hierarchii elementów teatru.

Oddzielnego omówienia wymagałby spektakl „Psa ogrodnika". Może znajdzie się miejsce i na to. Aby w kilku słowach zamknąć opinię o tym ciekawym przedstawieniu, trzeba stwierdzić, że właśnie tu, w spektaklu klasycznym, wykorzystane zostały niektóre tradycje teatru przedrewolucyjnego. Rozsuwane kotarki, symbolizujące zmianę miejsca akcji, drobne chwyty techniczne są właściwie starą szkołą. Z tego samego źródła czerpał swoje pomysły Bronisław Dąbrowski przy realizacji „Wieczoru Trzech Króli". Wykorzystano oczywiście tradycje tylko dobre. Uzupełniono je świeżymi koncepcjami ujęcia sztuki, zmieniono miejsca, na których kładzie się akcenty — wszystko razem dało całość barwną, żywą i taką, która, mimo nikłej treści, zainteresować może współczesnego widza.

***

Pokazy Moskiewskiego Teatru Dramatycznego (nie wszystkie niestety udo-

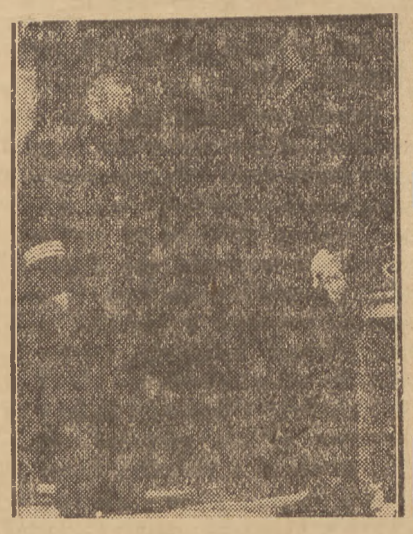

stępniono sprawozdawcom teatralnym, co by należało opatrzyć wielkim znakiem zapytania skierowanym pod adresem Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą) stanowiły duże przeżycie artystyczne. Sądzimy również, że zarówno dyr. Ochłopkow, jak i cały jego zespół opuszczają nasz kraj z dobrym mniemaniem o naszej widowni. Życzymy sobie wzajemnie, by doszło do ponownego spotkania.

Jerzy Artemski

Ideał historyczny nowego chrześcijaństwa

(Dokończenie ze strony 7)

dzieło trudne do osiągnięcia, paradoksalne i heroiczne. Nie istnieje humanizm obojętności.

Taka koncepcja byłaby utopijna gdybyśmy uważali, że miłość braterska, o której mówimy jest jedyną więzią wspólnoty doczesnej i jedyną jej podstawą. Nie, my wiemy, że pewien materialny i biologiczny ciężar wspólnych interesów i pożądań, ciężar, że s. tak wyrażę jakiejś zwierzęcości społecznej, jest niezbędny jako jedna z podstaw współżycia. I dostatecznie podkreśliliśmy w poprzednich rozdziałach charakter organiczny, który ze względu na ten punkt widzenia chrześcijaństwo nowoczesne musi koniecznie posiadać. Wiemy także, że jeżeli nie oprze się on na koncepcji pesymistycznej i wymagającej zarazem wobec natury ludzkiej, która ukazuje nam jako najtrudniejsze to, co jest najważniejsze a jako najlepsze w działalności politycznej to, co wymaga najwięcej starań, to ideał przyjaźni braterskiej byłby wówczas najprzykszejszym ze złudzień.

Ideał ten nie jest łatwy do zrealizowania nawet we wspólnotach religijnych, gdzie człowiek zobowiązuje się do doskonałości; jeszcze trudniejszy bez wątpienia w porządku życia świeckiego (skromniejszym co prawda i bliższym elementarnym pierwiastkom życia, ale o wiele mniej troszczącym się o cnotę). Lecz jeśli jest absurdem oczekiwać od społeczeństwa, aby sprawiło, by poszczególni ludzie stali się dobrzy i braterscy jedni dla drugich, o tyle inną rzeczą jest, że można i trzeba od niego wymagać aby samo posiadało dobre i przepojone duchem braterskiej przyjaźni struktury społeczne, instytucje oraz prawa i aby pociągało tym potężniej energie tkwiące w życiu społecznym ku takiej właśnie przyjaźni, która choć w gruncie rzeczy naturalna bardzo jest trudna do osiągnięcia dla synów Adama.

Tak więc przyjaźń braterska, jako mit (jeśli wolno nam uciec się do tego wyrażenia) jako decydujący czynnik współżycia, jako idea heroiczna, typowy cel dążeń i przedmiot powszechnego entuzjazmu pobudzający do działania najgłębsze energie masy — przedstawi nam się jako najistotniejsza, dynamiczna zasada, nowego chrześcijaństwa. Prowadząc życie ku całkowitej społecznej i doczesnej realizacji prawd ewangelicznych, przyczynia się bezpośrednio do powszechnej świeckiej działalności chrześcijan.

(tłumaczyła Z. R.)

Stefan Kisielewski

POWRÓT DO BRONI [2)]

(FILM OKUPACYJNY)

Nędza stała się teraz nieodłączną towarzyszką kapitana. Żył - wegetował odmawiając sobie wszystkiego, krążył po mieście blady, przygarbiony, w postrzępionym ubraniu. Nie było tu dla niego miejsca. Robił rozmaite starania o posadę — jak zwykle bez skutku wystawał w różnych kolejkach, w korytarzach, przedpokojach, gabinetach — biegał „po ogłoszeniach“. Wreszcie gospodyni widząc jego beznadziejną nędzę dopomogła mu: za jej staraniem otrzymał groszową posadkę w magistracie — stał się więc wreszcie człowiekiem jak inni — owym przysłowiowym „szarym człowiekiem“. W tym okresie parokrotnie spotykał na ulicy Wandę; była bardzo elegancka i udawała że go nie widzi.

Tymczasem nadeszła wiosna i lato — a z nimi ofensywa niemiecka i upadek Francji. Klęska dumnej, pięknej, opromienionej aureolą wielkich tradycji wolności i chwały Francji, żmudna, błyskawiczna porażka bratniej armii — to była sprawa, której kapitan nie przewidywał w najczarniejszych nawet chwilach: a więc tkwiło jeszcze w nim coś, co trzymało go jednak w krainie nadziei, jakiś fundament wiary w przyszłość, który oto z kolei zamieniony został w popiół i gruz — druga klęska, już teraz bezpowrotna. Cóż to za siła zmiotła z pomiędzy wolnych narodów „słodką Francję“? Niesiołowski z przesądnym lękiem zaczął patrzeć na armię niemiecką — myśl o niej opanowała go jak chorobliwa mania prześladowcza, jak gorzki uraz psychiczny: z upokarzającym a zarazem dziwnie jakoś podniecającym i z ciekawością zmieszanym lękiem patrzył nędzny urzędniczyna na defilujące ulicami zmotoryzowane wojska, samochody, czołgi, armaty, motocykle, na niebie sznury samolotów, wszystko lśniące, precyzyjne, groźne — warkot, szum, huk, trzask — żelazna, wroga armia najeźdźców, barbarzyńcy, którzy jak huragan niszczą świat. A czasem, nocami jak dalekie echo przeszłości śniła mu się dumna, urocza, cudna, pełna polotu i fantazji armia polska. Budził się z gorzkim uczuciem: to już był tylko sen.

W tym czasie powodziło mu się bardzo źle; nadeszła jesień, a z nią stworzenie złowrogiego getta. Koledzy kapitana z urzędu mieszkaniowego zarabiali krocie na różnych „ubocznie“ z urzędowaniem związanych interesach — Niesiołowski tego nie potrafił. Głodował i podupadał, jak duch słabości i rozkładu opanowała go — u niego jednego chyba tak dotkliwa — świadomość klęski.

Pewnego dnia, gdy z teczką pełną papierów wędrował przez ogromne korytarze magistratu mignął mu nagle przed oczami jakiś dziarsko wyglądający młody człowiek w wysokich, palonych butach. Młodzieniec ów zbliżył się doń szybko i stuknął obcasami.

— Panie kapitanie, plutonowy Adamczyk melduje się posłusznie na rozkaz! — zahuczał.

Kapitan rozejrzał się na około z lękiem, jednocześnie zaś nie mógł pohamować odruchu radości. Plutonowy Adamczyk był jego ulubionym podoficerem — sprytny, energiczny, odważny — istna ozdoba kompanii. Teraz też wydawał się wesoły, dostatni i pewny siebie — cóż za kontrast z przygnębionym, opuszczonym wyglądem kapitana. Plutonowy Adamczyk również zauważył ten kontrast, ale nic po sobie nie pokazał. Zawiązała się żywa rozmowa, w której kapitan nie mógł się powstrzymać od dania wyrazu przepajającemu go pesymizmowi; to poruszyło Adamczyka.

— Nie jest tak źle, panie kapitanie — powiedział — Niemiec nie jest wszechmocny. My sami dajemy mu radę prawie codzień.

— Jacy my? — zapytał kapitan

— A zobaczy pan — odrzekł Adamczyk tajemniczo — niech pan tylko przyjdzie dziś o siódmej wieczór na róg Wolskiej i Okopowej.

Rzeczywiście o tej godzinie zaintrygowany kapitan stawił się we wskazanym miejscu. Był ciemny, ponury wieczór grudniowy — dygocąc z zimna stali przed nieskończonym, beznadziejnym murem getta na wyludnionej ulicy. Zbliżała się godzina policyjna.

— Wejdźmy do tej bramy — mruknął Adamczyk — zaraz będzie szła wacha.

Ukryli się w ciemnej bramie, po chwili usłyszeli gardlane głosy przechodzącego patrolu — głosy oddalały się stopniowo. Było już po godzinie policyjnej. Nasłuchiwali w milczeniu. Nagle Adamczyk schwycił kapitana za rękaw.

— Teraz! — szepnął zemocjonowanym głosem.

Chyłkiem wyszli na bpustoszałą, głuchą ulicę; plutonowy zastukał w jedno z parterowych okien. Po chwili okno otworzyło się: czyjeś ręce podały im niewielką drabinę, a potem dwa ciężkie, ogromne wory. Mąka! — pomyślał ze zdumieniem Niesiołowski. Lecz nie było czasu na namysły: szybko powlekli wory i drabinę pod mur getta, przystawiając drabinę do muru. Nagle nad murem z tamtej strony zamajaczyły jakieś głowy.

— To „nasi“, naprzód kapitanie! — wychrypiał Adamczyk.

Niesiołowski wdrapał się na drabinę, a plutonowy podawał mu worek. Ciężko było wciągnąć go do góry, zwłaszcza po miesiącach głodowej diety. Gdy worek był już prawie na poziomie muru, jakieś silne ręce uchwyciły go z tamtej strony i przerzuciły do siebie. To samo stało się z drugim workiem.

— Szybko panie kapitanie — dyszał Adamczyk — zaraz będzie szedł patrol!

Istotnie — zaledwie przerzuciwszy worki wciągnęli drabinę do bramy — z ciemności dały się słyszeć miarowe kroki Niemców. Przytuleni do siebie stali we wnęce bramy aż kroki patrolu roztopiły się w nocnej ciszy.

Adamczyk zastukał do drzwi w bramie, które cicho się otworzyły. Weszli do izby, gdzie siedziało kilku młodych ludzi; na stole przygotowano wódkę i zakąski.

— Napijemy się kapitanie — powiedział wesoło Adamczyk — zarobiliśmy teraz parę ładnych stówek.

— Jak to my? — zdziwił się Niesiołowski.

— No my: pan, ja i oni — co pan myśli — to szmugiel do getta!

Wódka, której kapitan dawno nie pił, rozwiązała mu myśli i język; słuchał z przejęciem opowiadanych przez Adamczyka i jego towarzyszy historii o szmuglu i „nabijaniu Niemców w butelkę“. To rzeczywiście było życie bujne i intensywne w porównaniu z nędzą i szarością jego egzystencji. Toteż gdy wreszcie Adamczyk zaproponował mu stałą z nimi współpracę — kapitan przystał bez namysłu, ściskając gorąco dłonie przyszłych „towarzyszy broni“.

Od tego dnia rozpoczął się w życiu kapitana Niesiołowskiego okres bujnej swobody, ryzyka i upajającej emocji. Poznał tajniki i zakamarki getta, poznał sekretne przejścia i sposoby na żandarmów, tajemnicze, zamaskowane spelunki i magazyny na Woli, Lesznie, Żelaznej, Okopowej, poznał rozkosz ryzyka, gdy życie wisiało na włosku i brawurową przebiegłość, która wyprowadzała w pole wszechmocnych, zdawałoby się, Niemców. Zarabiał teraz dobrze, był nieźle ubrany i świetnie odżywiony, odzyskał dawną energię i pewność siebie. Czasem, gdy w maleńkich, ciemnych knajpkach na Woli, przy dźwiękach akrzypiec i harmonii omawiali i zapijali z Adamczykiem ważkie interesy — czuł się panem życia, jakimś niemal rycerzem, „kawalerem księżyca“, ciemnych ulic i wielkomiejskiej swobody. To jednak było coś!

Jeden zwłaszcza tragikomiczny epizod ich przemytniczej kariery utkwił kapitanowi specjalnie w głowie. Wieźli do Warszawy ze wsi dwa ogromne zarżnięte wieprze; wieźli je na wozie przykryte masą drzewa na opał, na które mieli — sfałszowane zresztą — pozwolenie. Pod wieczór w osadzie niedaleko granic miasta natrafili na posterunek żandarmerii, który ich zatrzymał.

— Co macie na wozie? — zapytał po polsku dowódca posterunku.

— Drzewo — odpowiedzieli jednogłośnie.

— A pod drzewem nic nie ma? — indagował Niemiec.

— Naturalnie że nie.

— Sprawdzimy to — oświadczył dowódca — ale jeśli macie coś więcej — kula w łeb! Poczekacie tu do rana — rano sprawdzimy to.

Zamknięto ich do pustej szopy, nad którą straż trzymał polski „granatowy“ policjant.

— Wpadliśmy — mruknął Adamczyk.

Z godzinę siedzieli w milczeniu, gdy nagle drzwi zachrobotały zlekka. Stał w nich z latarką „granatowy“ mrużąc porozumiewawczo jedno oko.

— Czy macie coś pod tym drzewem? — spytał półgłosem.

— Tak, wieprze — odparł równie cicho Adamczyk.

— Dajcie 2 tysiące to wyjmiemy je i schowamy.

Po krótkim targu transakcja została załatwiona; obaj wspólnicy z drżeniem w sercu wsłuchiwali się przyciszony łoskot ucuwanego drzewa — policjanci uratowali ich! Na drugi dzień rano zjawił się komendant wachy.

— No, teraz zobaczymy — warknął.

Wóz z drzewem stał spokojnie na poprzednim miejscu; czterech ludzi zaczęło zwalać wielkie szczypy — Adamczyk i kapitan patrzyli na to z niezmąconym spokojem: pod drzewem nie było nic.

— In ordnung! — warknął dowódca — jesteście wolni.

Drzewo załadowano z powrotem i granatowy policjant odprowadził ich poza wieś. Gdy zniknęły już ostatnie domy, Adamczyk zatrzymał furę.

— A teraz oddajcie nam wieprze — powiedział.

— Wieprze — jakie wieprze? — zdziwił się policjant — mieliście tam na wozie jakieś wieprze? W takim razie trzeba o tym donieść komendantowi wachy — ja przynajmniej o tym nic nie wiem.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, wreszcie Adamczyk wybuchnął śmiechem i zaciął konie.

— Ale nas nabili — zawołał do Niesiołowskiego.

Tymczasem wojna rozlewała się z zachodu na wschód, obejmując swym zasięgiem cały świat. Lecz Niesiołowski nie myślał o tym, zaabsorbowany walką i grą przemytniczą. W czerwcu jednak zaczęło być gorąco: rozpoczęto likwidowanie getta. Przyjaciele stali całymi dniami pod murem „małego getta“ frasobliwie nasłuchując dolatujących stamtąd krzyków i wystrzałów. Po tygodniu ucichło wszystko.

—. Pójdziemy tam dziś w nocy — zadecydował Adamczyk.

Noc była letnia, księżycowa. Przez znajome przejście na ulicy Próżnej wkradli się wspólnicy do getta. Otwarte bramy domów czerniały w zielonym świetle. Skradając się pod murem weszli do pierwszego z brzegu domu: mieszkania były również otwarte. Wszystko stało tam jak zastygłe w niemym zaskoczeniu: napoczęta kolacja na stole, otwarte książki, fortepian — głucha cisza wokoło. Adamczyk otworzył szafę: wisiały w niej futra, palta, garnitury.

— Bierz co się da i idziemy — warknął plutonowy.

Obładowani wykradli się na podwórze — już mieli zginąć w cieniu bramy, gdy nagle osadził ich w miejscu jakiś dźwięczny, metaliczny głos:

— Stać, coście za jedni — krzyknął ten głos po polsku.

Zatrzymali się jak wrośli w ziemię: przed nimi stał młody Niemiec w mundurze — w obu rękach trzymał rewolwery.

— Coście za jedni — powtórzył.

— Polacy — mruknął Adamczyk.

— Polacy, czy hieny cmentarne rabujące trupy — zagrzmiał tamten. — Nie wstydzicie się rabować tutaj, gdy tam polska armia potrzebuje ludzi? Marsz za mną!

Jak zahypnotyzowani ruszyli dwaj wspólnicy za tym niby Niemcem, który przemówił do nich tak z polska.

Od tego dnia stali się Adamczyk i Niesiołowski członkami podziemnej organizacji wojskowej, której dowódcą był Cezary, ów młody człowiek przebrany za Niemca. Cezary był uosobieniem odwagi, ryzyka, brawury, prężności, woli, a przede wszystkim zimnej, nieugiętej, bezwzględnej nienawiści do Niemców; w potwornej dżungli warszawskiej czuł się w swoim żywiole — jak nieposkromiona lecz chytra pantera, przemykająca się bezszelestnie po kniejach miasta. Niesiołowski podziwiał tego dwudziestoletniego chłopca o tak dojrzałym instynkcie wodza. Cezary kierował całą niewidzialną armią terrorystyczną, która władała warszawską ulicą jak nieuchwytni Indianie z książek Maya i Fenimore Coopera — prerią. Tajne posterunki Cezarego rozstawione były na wszystkich ważniejszych arteriach miasta — obserwowały one ruchy Niemców, działalność patroli, samochody gestapo, przygotowania do „łapanek“, podając te wiadomości do rozsianych tu i ówdzie mieszkań-placówek, skąd co parę godzin przesyłano je do kwatery Cezarego; w ten sposób dowódca siedząc jak pająk w sieci miał ciągłą kontrolę nad życiem ulicy i nad okrutną, niewidoczną walką, którą Niemcy toczyli bez przerwy z warszawską ludnością. To było wspaniałe i emocjonujące poezja tajnej walki upajała bardziej jeszcze niż poezja przemytu.

Niesiołowski i Adamczyk, z początku traktowani w organizacji nieco nieufnie, z czasem stali się jej karnymi i cenionymi członkami — zwłaszcza kapitan poważany był jako oficer, znawca broni i taktyki, człowiek o szybkiej orientacji i niezawodnej odwadze. Wziął udział w kilku większych akcjach, spisując się bez zarzutu i wreszcie nadszedł dzień, gdy Cezary powierzył mu akcję samodzielną. Miał oto, przebrany za Niemca, udać się do niemieckiego dancingu „Erika“ na Marszałkowskiej i tam zastrzelić fordanserkę „Ritę Negro“ — prowokatorkę, przez którą zginęło wielu Polaków i kochankę jej, oficera gestapo Wachtera. Po dokonaniu akcji eskortowany przez czekających na ulicy towarzyszy miał wycofać się na róg Siennej, gdzie będzie stało auto, które wywiezie go na parę dni poza miasto.

Kapitan głęboko zastanawiał się nad całym zadaniem. Zabicie kobiety, przebieranie się za Niemca — to nie było dlań przyjemne — to niecałkiem godziło się z etyką wojskową. Na tym punkcie często różnił się z Cezarym, który nie uznawał takiego, jak mawiał, „sentymentalizmu“ — przebieranie się w mundur wroga, napadanie znienacka, używanie wszelkich możliwych podstępów — to były według niego znamiona owej bezwzględnej walki którą toczyli — „etyka wojskowa“ była tu przeżytkiem — Cezary zresztą nie lubił myśleć nawet o takich, jak je nazywał, „scholastycznych“ problemach. Może i miał rację — jawne wojsko polskie należało przecież do przeszłości — nowe czasy — nowe wojsko. Zresztą, nie było się co wahać: rozkaz był rozkazem.

Wyznaczonego wieczoru Niesiołowski w niemieckim mundurze oficerskim szedł sztywno w stronę „Eriki“. Przed wejściem sprawnym okiem obrzucił kilku młodych ludzi czekających na tramwaj, dwóch, gapiących się na niecekawą wystawę i jednego, oglądającego fotosy fordanserek „Eriki“. To Adamczyk z eskortą. Pewnym krokiem, bez drżenia w sercu kapitan wszedł do środka.

Dancing, niewielka, amfiteatralnie zbudowana salka z okrągłym parkietem pośrodku, był już prawie pełen — niemal sami oficerowie. Orkiestra miała w tej chwili pauzę. Niesiołowski rozejrzał się, swoją nieskazitelną niemczyzną zamówił koktail i czekając nań szukał wzrokiem fordanserek. Gdy kelnerka przyniosła mu zamówiony napój, zapytał ją półgłosem o „Fräulein Ritę Negro“. Kelnerka bez słowa wskazała mu siedzącą tyłem do nich kobietę; obok niej tkwił łysy, tęgi i wysoki oficer w monoklu. Wachter — pomyślał Niesiołowski. Nagle kobieta wstała i spojrzała w jego stronę — kapitan poznał ją od razu — to była Wanda.

Wanda również poznała go natychmiast; zbladła jak papier, oczy zwęziły się jej z przerażenia. Porywczym ruchem podeszła w jego stronę i przechodząc szepnęła:

— Przyjdź zaraz do pokoiku — pierwsze drzwi na lewo.

Odczekawszy chwilę Niesiołowski udał się do owego pokoiku. Wanda czekała już nań — na jego widok rzuciła się na kolana.

— Przyszedłeś mnie zabić — szeptała nieprzytomnie — ale daruj mi, to wszystko nieprawda, ja nie robiłam nic złego, pracuję tu dla chleba, mam przecież brata, matkę. Daruj mi, błagam — będę twoja.

Czepiała się Niesiołowskiego całując go po rękach — kapitan stał sztywno jak nieżywy. Nagle rozległo się pukanie do drzwi — Wanda z głuchym okrzykiem rozpaczy zerwała się i wybiegła w momencie właśnie,

(Dokończenie na str. 10)

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

RUCH I BAZA

Artykuł Mikołaja Rostworowskiego pt. „O właściwą bazę katolickiego ruchu społecznego", który ukazał się w numerze 15 — 16 „Dziś i Jutro", napisany jest interesująco — widać, iż został przez Autora przemyślany. Mimo to zawiera pewne braki, czego — wobec rozległości tematu prawie dotąd nie opracowanego — trudno było uniknąć.

M. Rostworowski uzasadnia na wstępie konieczność czynnego udziału katolików w polityce. Ze względu jednak na istnienie szeregu zastarzałych uprzedzeń i przesądów związanych z tym pojęciem należałoby bliżej określić właściwy jego sens — samo powiedzenie, iż polityka jest „złączona nierozdzielnie z pojęciem sprawowania władzy", niczego tu nie wyjaśnia, raczej sprawę zaciemnia. A przecież właściwe rozumienie, czym jest polityka, jasne wyodrębnienie pojęcia taktyki dla katolików ma szczególne znaczenie.

Dalej sformułowana jest następująca definicja ruchu społecznego — konkretnie społecznego ruchu katolickiego: „Katolickim ruchem społecznym nazywam zespół katolików świeckich, który stawia sobie zadania z zakresu polityki społecznej". Określenie to jest całkowicie niezadawalające. Autor artykułu podchodzi do swego tematu jako socjolog, to też winien pamiętać, iż dla socjologa definicja jest nie tylko ścisłym ustaleniem znaczenia pewnego terminu, ale także instrumentem w dalszych dociekaniach. Nazwanie ruchem pewnego mniejszego czy większego nawet (z pojęciem ruchu społecznego kojarzy się intuicyjnie pewna masowość) zespołu stawiającego sobie pewne cele z zakresu polityki społecznej, pomijając już iż jest niecelowe, zbytnio odbiega od powszechnego rozumienia, zawierające w sobie inną treść społeczną. Warto tu przypomnieć uwagi polskiego socjologa, Aleksandra Hertza: „Znaczenia, jakie nadają ludzie nazwom, są przecież wypełnione treściami na wskroś społecznymi, są odgłosami takich czy innych stanów rzeczy, takich czy innych sytuacji społecznych, jakie są właściwe określonym zbiorowiskom ludzkim, żyjącym w określonym czasie i miejscu. Nazwy te i ich znaczenia stanowią ważny element tego, co zwykliśmy nazywać rzeczywistością społeczną.1) M Rostworowski jednak kwestię tą bagatelizuje nie wnika w głębszy sens pojęcia ruchu, lecz dość dowolnie przypisuje temu wyrażeniu określoną treść „na własną rękę". Właściwsze byłoby określić ruch społeczny katolików jako złożoną grupę społeczną składającą się z ludzi o jednolitym (chrześcijańskim) poglądzie na świat i wspólnych zasadach programowych w polityce, działającą w ramach naczelnych związku społecznego (używając terminologii prof. H. Piętki) tj. narodu wzgl. państwa.

Wątpliwości nasuwa również następujące określenie bazy społecznej ruchu: „Te jednostki lub grupy, które wyodrębnia spośród innych jednostek czy grup wspólna świadomość, że dany ruch społeczny reprezentuje ich społeczne potrzeby, nazwiemy bazą społeczną ruchu". Taka definicja stała się za wąska, przez wprowadzenie czynika świadomości. Baza ruchu społecznego, to ogół jednostek i grup, których społeczne potrzeby dany ruch realnie i obiektywnie reprezentuje. W takim też raczej znaczeniu M. Rostworowski w dalszym ciągu tym pojęciem się posługuje. Uświadomienie wszystkim członkom swej bazy faktu, iż ruch jest wyrazicielem ich interesów — należy do zadań ruchu. A więc stosując np. klasyfikację ks. prof. F. Mirka zaliczylibyśmy „bazę społeczną" do typu grup społecznych zwanych „masami", z tym że byłby to rodzaj „mas utajonych".

Dziwi natomiast w artykule p. Rostworowskiego zdanie (niepoprzedzone żadną argumentacją): „Bez względu na doraźne efekty konfliktów, które są stałym obiawem wzajemnego stosunku antagonistycznych formacji, społeczne zwycięstwo pokrzywdzonych przez stary porządek jest w ostatecznym rozrachunku przesądzone". Zdania tego typu bez bliższego uzasadnienia pojawiają się dość często w wypowiedziach niektórych publicystów, posługujących się przy tym co drugie słowo terminami socjologia, socjologiczny, jednak od piszącego rzeczowo i dążącego do obiektywizmu autora artykułu socjologicznego należałoby żądać unikania zdań „proroczych". Nie chodzi w tej chwili o słuszność samego poglądu, ani tym mniej o moralny jego aspekt, ale jedynie o to, iż czytając takie zdanie u publicysty marksistowskiego wie się, na jakiej podstawie jest wypowiedziane, na jakim prawie oparte. U p. Rostworowskiego natomiast twierdzenie to zjawia się jak „deus ex machina" i, co najgorsze, odnosi się wrażenie, jak gdyby autor wcale tego nie spostrzegał, w tak beztroski sposób przechodzi od analizy socjologicznej do nieumotywowanych „pobożnych" życzeń, które choć bez wątpienia szlachetne w intencjach w tej formie w pracy analitycznej nie powinny się pojawić.

Katolicy polscy nie rozumieli dawniej w ogóle konieczności oparcia — po uprzedniej analizie socjologicznej — katolickiego ruchu społecznego na konkretnej bazie społecznej, fałszywie mieszając sprawy katolicyzmu - religii i ruchu społecznego katolików. Teraz jednak, gdy rozumiemy błędność tamtej postawy — zgadzając się z p. M. Rostworowskim, że „...nie można w społeczeństwie antagonistycznym reprezentować jednocześnie doraźnych potrzeb wszystkich jego członów"2) — powinniśmy analizę socjologiczną przeprowadzić w sposób jak najbardziej ścisły i precyzyjny, gdyż tylko wtedy będzie bezbłędna, a więc celowa.

W ostatniej wreszcie części artykułu przypomina M. Rostworowski tak istotne dla każdego działacza, katolika i nie katolika, rozróżnienie między walką z krzywdzącym porządkiem społecznym i walką z człowiekiem. Bliższego jedynie sprecyzowania wymagałoby pojęcie „buntu humanistycznego".

dż. S.

1) Aleksander Hertz. Socjologia współczesna. Warszawa 1938 — str. 83.

2) Współczesna socjologia bardzo wieloznacznego wyrazu „społeczeństwo" raczej się wystrzega — przyp. mój.

Metoda polemiczna pałki

Szanowny Panie Redaktorze.

Moja nota o sytuacji, panującej w dzisiejszej krytyce literackiej wywołała sprostowanie prof. K. W. Zawodzińskiego, który zresztą zgadzając się ze mną, sam zamieścił poniżej obszerną notę w sprawie oceny przez Pawła Hertza „Ody na wzięcie Warszawy" Tiutczewa. Zaczepiony odpowiedział w nr. 15 (188) „Kuźnicy" artykulikiem pt. „Historiozofia pana K. W. Zawodzińskiego".

Nie będę tu wdawał się w meritum sprawy i dowodził, kto ma rację w sprawie owej „Ody" Sprawę tę zapewne po raz wtóry wyjaśni sam prof. Zawodziński. Chodzi mi o rzecz ważniejszą, a mianowicie o metodę polemiczną, jaką zastosował Paweł Hertz.

Prof. Zawodziński rozpoczął swoje wywody tymi słowy: „W bardzo rozsądnych i dobrze napisanych „Rozważaniach"... P. Hertz itd. Następnie podał w całości odę Tiutczewa, aby czytelnik mógł zrozumieć o co toczy się dyskusja.

Paweł Hertz zaś, nie wiadomo czym zdenerwowany, napisał artykuł w odpowiedzi, zresztą po raz pierwszy zdaje się w swojej karierze, gdzie zamiast polemizować ośmiesza i szkaluje oponenta. Karol Irzykowski (niech korekta znów nie zrobi z niego — Trzykowskiego) nazwał tę metodę „kompromitacjonizmem". Polega ona na tym (dla zorientowania młodych czytelników), iż w trakcie dyskusji na jakiś określony temat pisze się, że przeciwnik jest, delikatnie mówiąc, kandydatem do szpitala dla umysłowo chorych. Fakt ten nie ma nic wspólnego z dyskusją, ale chodzi po prostu o ośmieszenie i pogrążenie przeciwnika w opinii czytelników. Ilu to pisarzy sobie niewygodnych „wykończyły" w ten sposób „Wiadomości Literackie".

Kazimierz Wyka, gdy jeszcze nie był profesorem i pisywał dowcipne felietony, tak pisał o tej sprawie w kwietniu 1936 r. w „Marchołcie", w artykule o Słonimskim:

„Najczęściej Słonimski stosował metodę pałki. Łagodna metoda pałki polegała na systematycznym ogłuszaniu przeciwnika. Skoro co pewien czas, byle systematycznie, biło się w to samo miejsce, np Irzykowski jest nudny, Wells zbawi świat, socjaliści nie wiedzą, co to socjalizm, wszyscy endecy mają ciotki żydówki, belfry torturują młodzież itd.— w świadomości postępowego czytelnika wyrastał guz, który tenże czytelnik wolał omijać. Wytwarzało się niesprawdzalne tabu, zadziwiająco bliskie tabu ludów pierwotnych. Za jego zaprzeczeniem dany osobnik pogrążał się. Z wybitnego i uznawanego przez wszystkich zmieniał się w tępą piłę.

Surowa metoda pałki polegała na zwykłych wyzwiskach i insynuacjach". Paweł Hertz zaś stosuje takie „chwyty" polemiczne:

„Pan Zawodziński przyznaje sam, że Tiutczew był imperialistą (!) Co prawda pojęcie imperializmu według tego co mi wiadomo, odnosi się do znacznie późniejszego okresu historii, ale będę wspaniałomyślny i nie wytknę panu Zawodzińskiemu, że nie czytał żadnego nowszego podręcznika ekonomii politycznej".

Oto jest klasyczny przykład metody „łagodnej pałki". "Nie wytknę, będę wspaniałomyślny", ale napisałem — no i chciałem ośmieszyć. Bo formalnie jest Hertz w porządku, ale niech Czytelnicy ocenią (chodzi mi tu o metodę, a nie o fakt, w którym jeżeli Zawodziński nie posłużył się przenośnią — słuszność ma Hertz).

Dalej posługuje się Hertz już „surową metodą pałki".

„Działalność Zawodzińskiego — pisze — po roku 1945 sprowadza się przeważnie do narzekań i sprostowań". (Przykłady: Książka „Stulecie trójcy powieściowej", redakcja „wierszy wybranych" Tiutczewa i serii „Kraszewski na nowo odczytany").

Czas zapytać Hertza: czy zamiast ośmieszać przeciwnika (ale ideowego, nie na ringu bokserskim) i zważywszy, że Courbet nie żył podczas rewolucji francuskiej, że Hertz sprytnie przemilczał, nie można było powtórzyć zdania Irzykowskiego z rękopisu „Mostów":

„Klerk może cofnąć powiedziane słowo i zaczęty czyn. Klerk nie jest uparty".

Co prawda ani p. Hertz — ani ja również — nie podpiszemy się pod klerkizmem, ale zamiast „klerk", w tym sformułowaniu, możnaby napisać „krytyk".

Bohdan Grzeniewski

Moralizatorzy

SZANOWNA REDAKCJO

Ciekawe jest, że ci, którzy się najbardziej wszystkim gorszą, mówiąc o przedmiocie zgorszenia, używają określeń tak drastycznych, że wywołują uśmiech zakłopotania u najwięcej tolerancyjnych.

Mam na myśli niektórych publicystów, którzy drukują swe bojowe wypowiedzi na łamach „Dziś i Jutra" i „Słowa Powszechnego".

Czy należy rzeczywiści stosować zasadę, że tylko drastyczne i niesmaczne określenia piętnują właściwie zło. Jest to jakaś homeopatia moralna. Leczenie choroby przez wprowadzenie do organizmu jej bakterii.

Oczywiście, że najbardziej drastyczne określanie zła nie jest czynieniem go, ale tym niemniej jest w tym coś zastanawiającego i budzącego smutne refleksje.

A jeżeli dotyczy zagadnień seksualnych zalatuje wyraźnie kompleksami, które swojego czasu odkrył Freud.

Bojowość moralizatorska tych panów wydaje się wyrastać nie z głębokiego umiłowania ludzkości, ale z ucieczki przed możliwością grzechu w nich samych, wydaje się być niejako rozkoszą czerpaną z biczowania innych za to, że robią to, przed czym obawa w nich samych drzemie.

Kiedy ci publicyści mówią o „ladacznicach", czy przypominających glisty bladych łydkach, o rozpustnikach i łajdakach, to aż narzuca się ujęcie tego w terminy psychologiczne, dotyczące szeregu t. zw. odchyleń instynktu seksualnego.

Takie odchylenia nie są ani moralne i nie należałoby ich z różnych względów demaskować.

Metoda tych panów jest ze wszechmiar pedagogicznie szkodliwa. Jakkolwiek intencje mogą być najszlachetniejsze.

Z poważaniem

Antonina Grosik
(nauczycielka)

POWRÓT DO BRONI

(Dokończenie ze str. 9-tej)

gdy w drzwiach ukazała się łysa głowa Wachtera. Z sali rozległy się przyciszone dźwięki muzyki. Niesiołowski odczekał chwilę i wrócił na swoje miejsce. Światło było teraz przygaszone, orkiestra grała tango. Kapitan poszukał wzrokiem Wandy: tańczyła z Wachterem, lecz oczy jej bez przerwy utkwione były w niego. Gdy w tańcu zbliżyli się doń, kapitan sięgnął szybkim ruchem do kieszeni. Usta Wandy złożyły się do okrzyku, lecz nie zdążyła. Niesiołowski wyszarpnął z kieszeni rewolwer i oddał w ich stronę sześć strzałów raz za razem; usłyszał tępy łoskot padających ciał, jednocześnie zgasło światło. Powstał nieopisany zamęt: huk rzucanych krzeseł, kilka strzałów, krzyki — wszystko zakotłowało się w całkowitej ciemności. Niesiołowski depcząc po czymś miękkim rzucił się do drzwi. Nie niepokojony niemal wybiegł przez opuszczoną szatnię na ulicę i pobiegł w stronę Siennej. Usłyszał kilka wystrzałów — to był Adamczyk z eskortą. Na rogu Siennej stało auto z otwartymi drzwiczkami — Niesiołowski wskoczył doń, auto ruszyło natychmiast.

———

Jechali już parę godzin — na wschodzie zaczynało szarzeć. Zboczyli z szosy i jechali teraz leśną, wysłaną igliwiem drogą. Niesiołowski siedział sztywno — nie zamienili dotąd z szoferem ani słowa.

Las stawał się coraz gęstszy. Nagle tuż przed autem wyłoniło się coś w rodzaju barykady ze zwalonych pni drzewnych. Szofer przyhamował raptownie, wtem zza barykady zaterkotał karabin maszynowy. Kapitan upadł w tył na poduszki auta.

— Stój, stój — my Polacy — ryknął szofer wyskakując i chowając się za auto.

W tej chwili z gęstwiny wynurzyło się kilku ludzi. Niesiołowski patrzył na nich stygnącym wzrokiem. Lecz co to? Ci ludzie są w zielonych mundurach, na czapkach orzełki, w ręku broń — toż to wojsko, polskie wojsko — leśne wojsko. Z gąszczy wyszedł oficer i powoli jął zbliżać się do auta, ciekawie patrząc w Niesiołowskiego.

— To nasz kapitan — nie strzelać — jęczał szofer.

Oficer zatrzymał się i nachylił nad Niesiołowskim.

— Fatalna pomyłka — powiedział cicho.

Jego szare oczy wpatrywały się w smugę krwi na niemieckim mundurze.

— Nie, nie, to nie pomyłka — tchnął raczej niż wyszeptał Niesiołowski. — To sprawiedliwie: ja zabiłem Wandę — wy zabiliście mnie — tak być musiało — wyście wojsko, wojsko...

Oficer nachylił się niżej, lecz głowa Niesiołowskiego zwisła nagle bezwładnie.

Z gęstwiny jęło się wynurzać coraz to więcej leśnych ludzi — z nimi koni, polskie, kawaleryjskie konie, siodła, orzełki, lance — to wojsko, naprawdę polskie wojsko. Po pewnym czasie przyniesiono nosze z zielonych gałęzi. Złożono na nich Niesiołowskiego i za chwilę posępny orszak zniknął powoli w leśnej głuszy, eskortowany przez rozkulbaczone, kawaleryjskie konie — niby dziwaczny pluton honorowy.

Warszawa, czerwiec 1944.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński Andrzej Micewski.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m 17, tel 880 71 Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień prócz wtorków i sobót, godz 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 8.

Prenumerata miesięczna 30 złotych Kwartalna 180 złotych.

B-74235